CENA 1.50 ZŁ

WOJEWÓDZKA ODZNAKA M. ŁODZI

53 Rok XV (789)

31. 12. 72

DOSIEGO ROKU

ODGŁOSY

TYGODNIK SPOŁECZNO • KULTURALNY

JUTRO ZACZYNA SIĘ DZIŚ

Z PRZEWODNICZĄCYMI RN m. ŁODZI i WRN Jerzym Lorensem I Romanem Malinowskim rozmawiają: Włodzimierz Stokowski i Lucjusz Włodkowski

— Wchodzimy już w nowy rok. Czy zechciałby Pan dokonać krótkiego bilansu naszych osiągnięć w 1972 roku, które warunkują dalszy wzrost poziomu życiowego mieszkańców miasta? — pytamy Przewodniczącego Prezydium RN m. Łodzi — Jerzego Lorensa.

— Sądzę, iż najbardziej rzeczową odpowiedzią na to pytanie będzie przegląd — oczywiście bardzo skrótowy i uogólniony — wykonania najważniejszych pozycji naszego planu gospodarczego w minionym roku. To bowiem decyduje o wzroście stopy życiowej ludzi pracy w Łodzi. Mimo wysokiego napięcia zadań planu, mogę już dziś powiedzieć, że zostanie on wykonany w całości i w terminie. W niektórych działach wystąpiły wprawdzie pewne trudności, spowodowane głównie niepełną jeszcze sprawnością służb inwestorskich, biur projektowych i wykonawców, niedostatecznym zaopatrzeniem materiałowym, brakami w sprzęcie itp., ale przezwyciężyliśmy je w odpowiednim czasie i nie wpłynęło to na terminowe wykonanie planu. Oddamy do użytku szereg obiektów użyteczności publicznej, około 26 tysięcy nowych izb mieszkalnych, około 11 tysięcy metrów kwadratowych powierzchni dla potrzeb usług, w tym m.in. piękny obiekt handlowy „Central". W usługach socjalno-bytowych przybędzie miastu nowy i nowocześnie wyposażony szpital. W 1972 roku w pełni wykonał swe zadania handel łódzki.

Dalszy ciąg na str. 3

— Nowy Rok tradycyjnie stanowi okazję do oceny pracy w roku minionym i do nakreślenia zadań na rok nadchodzący. Jakimi osiągnięciami może poszczycić się gospodarka województwa łódzkiego — pytamy Przewodniczącego Prezydium WRN w Łodzi — Romana Malinowskiego.

— Rok 1972 był okresem wzmożonego wysiłku i ofiarnej pracy ludzi województwa łódzkiego. Dzięki temu nie tylko wykonano planowane zadania, ale w wielu dziedzinach znacznie je przekroczono. Według wstępnych ocen plan sprzedaży produkcji własnej i usług dla innych zakładów przemysłowych wykonano w 104,2 proc., co stanowi wzrost w stosunku do 1971 roku o 8,4 proc. Znacznie przekroczyły swoje zadania przedsiębiorstwa przemysłu terenowego, bo o 10,4 proc.

— A produkcja dodatkowa?

— Wartość produkcji dodatkowej w ramach „akcji 20 mld zł" przekroczyła wydatnie podjęte zobowiązania. Spowodowało to jednocześnie poprawę relacji ekonomicznych: np. ogólny przyrost produkcji globalnej osiągnięto w 58 proc. dzięki wydajności pracy i w 42 proc. przez zatrudnienie, z tym, że wskaźniki te w przedsiębiorstwach planu terenowego ukształtowały się na poziomie 65 proc. i 35 proc.

Dalszy ciąg na str. 3

JERZY WAWRZAK

PANORAMA DNI

Najpierw była wizja — marzenie.
Szydzili: mydlane bańki, bicze z piasku,
pałace na lodzie
ale zahuczał Dniepr ludzkim głosem
wprzęgnięty w kierat światła
ale przekopano kanał tak długi
że wszyscy musieli się z nim pogodzić
i pustynia też.

Potem było równanie góry,
burza piaskowa niosła koncert dynamitów
a grzyby co wykwitały nad nimi
były tylko nieszkodliwą manifestacją kurzu
i jeszcze morze, bo dzieci nie miały gdzie puszczać
papierowych okrętów
i źle jest dla klimatu,
kiedy nie ma pod ręką morza.

Dni nabierają sensu

Szli tam podpierając pyski znużonym wielbłądom
żar nawet łyse sępy wypłoszył w cień skalny
weterani głodu łatwiej znosili pragnienie
ci młodsi, szczeniaki prawie, przy ognisku jednak
zmęczenie nie odebrało im pieśni
wszystkim rany ktoś otwierał, tę słabość wieczoru
tęsknota może była szalona
ale to tylko nękanie niegodne dnia następnego
co zbliżał do celu
tylko sekretarz milczał, nie znano wtedy
przemówień okolicznościowych
klął piasek i przecierał okulary w drucianej oprawie.

I było tych dni trudnych, ile w pustyni ziaren piasku
a każde było ciężkie jak głaz Syzyfa,
tylko oni przetaczali je na drugą stronę
i spłynęła na nich jasność elektryczna:
łaskawość drutów, puls maszyn
i monstrancja pieców

I stało się miasto
nie zawołaniem biblijnym
takie zwykłe, gdzie szkło wyprzedzało kamień
kamień rósł do nieba
skąd nawet deszcz przyszedł na pola bawełny
bo stała się zieloność w piaskowych kolorach
i drzewa zakwitły w placach betonowych
Tak człowiek wypełzł ze szczelin Ziemi Nieobiecanej
na scenę historii

Był więc czas kanału, szklane skrzydła miast,
droga i przęsło mostu w przyszłość
i pochodnia idei Lenina rzucona w mrok świata.

BLIŻEJ ŚWIATOWEGO POKOJU

ROK BOGATYCH WYDARZEŃ

Zrywamy ostatnie już kartki kalendarza 1972 roku. Niemal każda z odrzucanych co dnia zapisywała mniejsze lub większe wydarzenia na arenie międzynarodowej. Te zaś składały się na klimat polityczny w świecie.

Z perspektywy roku łatwo zapomina się, w jakiej sytuacji i układzie stosunków międzynarodowych znajdował się wówczas świat. Tym bardziej trudno odpowiedzieć sobie na pytanie, co przyniósł mijający rok? Oddalił, czy też przybliżył perspektywę trwałego pokoju? Spełnił nasze nadzieje i oczekiwania, czy też nie?

Poniżej — w problemowym przeglądzie wydarzeń 1972 roku podejmujemy próbę odpowiedzi na te pytania.

STOSUNKI MIĘDZY WSCHODEM I ZACHODEM

O klimacie politycznym świata i jego bezpieczeństwie decydują wszystkie kraje — duże i małe. Ale szczególna odpowiedzialność za pokój spada na światowe mocarstwa — dysponentów broni nuklearnej, której zapasy nagromadzone na Zachodzie i Wschodzie wystarczyłyby do kilkakrotnego unicestwienia życia na ziemi. Dlatego od układu stosunków między wielkimi mocarstwami, a zwłaszcza między Związkiem Radzieckim i Stanami Zjednoczonymi zależy w wysokim stopniu rozwój międzynarodowej sytuacji.

Rok 1972 przyniósł nie tylko poprawę klimatu na linii największych centrów polityki światowej — Moskwy i Waszyngtonu, lecz także konkretne porozumienia.

Majowa podróż prezydenta Nixona do ZSRR, wielogodzinne rozmowy z przywódcami radzieckimi — znalazły swe uwieńczenie w podpisaniu porozumień i układów: o ograniczeniu zbrojeń strategicznych, współpracy w kosmosie, współpracy w dziedzinie środowiska naturalnego oraz w zakresie medycyny i ochrony zdrowia.

Wcześniej zakończył się I etap dwustronnych rozmów radziecko-amerykańskich, prowadzonych kolejno w Helsinkach i Wiedniu, na temat zbrojeń strategicznych. Wieloletni dialog (od stycznia 1967 r.) utorował drogę wspomnianemu rozwiązaniu oraz umożliwił podjęcie II etapu rozmów, które obecnie toczą się w Genewie.

Znaczenia moskiewskich rozmów radziecko-amerykańskich na najwyższym szczeblu nie można jednak mierzyć wyłącznie podpisanymi wówczas układami. Rozmowy te służyły pełnemu przeglądowi międzynarodowej sytuacji i zarysowaniu kierunków pokojowego rozwiązywania najbardziej nabrzmiałych problemów.

Jeśli w kilka miesięcy później — o czym będziemy pisać poniżej — rozpoczęły się wielostronne konsultacje w Helsinkach, przygotowujące europejską konferencję na temat bezpieczeństwa i współpracy, do której USA odnosiły się z rezerwą, a Zgromadzenie Ogólne Narodów Zjednoczonych w grudniu przyjęło rezolucje o niestosowaniu siły w stosunkach międzynarodowych i zakazie użycia broni jądrowej, o zwołaniu światowej konferencji rozbrojeniowej, z którą to inicjatywą wystąpił ZSRR, jeśli — mimo licznych trudności i braku decyzji o wprowadzeniu w życie porozumienia — problem indochiński zaczął ewoluować w kierunku pokojowego rozwiązania — to z pewnością źródeł tych korzystnych procesów trzeba dopatrywać się w rozmowach moskiewskich. Były one zwycięstwem polityki Związku Radzieckiego, gdyż — jak stwierdzali wówczas komentatorzy — Nixon będzie musiał odtąd prowadzić taką politykę wobec Wschodu, która by respektowała jego podpisy.

Maj zaznaczył się więc w kalendarzu politycznym 1972 r. jako miesiąc, budzący optymizm co do dalszego rozwoju stosunków między Wschodem i Zachodem. Nawet z górą półroczny okres nie jest dostatecznym czasem, aby w pełni ogarnąć znaczenie moskiewskiego dialogu.

Na konto poprawy stosunków Wschód-Zachód zapiszmy także podpisaną w kwietniu w Moskwie przez 47 krajów konwencję o zakazie badań, produkcji i magazynowania broni bakteriologicznej.

EUROPA

W 1972 r. wkraczaliśmy z dwiema przede wszystkim nadziejami: na podjęcie konkretnych przygotowań do europejskiej konferencji na temat bezpieczeństwa i współpracy oraz na wprowadzenie w życie układów, zawartych w 1970 roku przez Związek Radziecki i Polskę z NRF, i osiągnięcie porozumienia między NRD i NRF. Te oczekiwania spełniły się.

W styczniu odbyło się w Pradze posiedzenie Doradczego Komitetu Politycznego Państw-Stron Układu Warszawskiego. Uczestnicy narady przyjęli deklarację o pokoju, bezpieczeństwie i współpracy w Europie. Wypowiedzieli się w niej za szybszym przeprowadzeniem ogólnoeuropejskiej konferencji, gdyż uczestnicy takiej konferencji „mogliby wypracować praktyczne środki dla dalszego rozladowania napięcia w Europie i zapoczątkować budowę systemu bezpieczeństwa europejskiego".

Państwa socjalistyczne sformułowały w tej deklaracji podstawowe zasady bezpieczeństwa, wymieniając wśród nich: nienaruszalność granic, niestosowanie siły, pokojowe współdziałanie i rozwój dobrosąsiedzkich stosunków.

Z perspektywy minionego czasu można chyba stwierdzić, że praskie posiedzenie było przysłowiowym milowym krokiem na drodze do europejskiej konferencji.

Pod koniec roku — w listopadzie rozpoczęły się w Helsinkach wielostronne konsultacje z udziałem 32 państw naszego kontynentu. To największe europejskie forum ma już za sobą I etap prac. Przebiegł on pomyślnie — okazało się, że mimo różnic zdań w niektórych szczegółowych kwestiach — górę bierze to, co łączy kraje Europy. Kiedy więc 15 stycznia — po świątecznej przerwie — konsultacje zostaną wznowione, zapadną decyzje co do miejsca, terminu i porządku dziennego konferencji. Wizja Europy pokojowej i współpracy przybliża się szybko.

Zanim jednak zebrali się w stolicy Finlandii przedstawiciele niemal wszystkich europejskich krajów (nie uczestniczy tylko Albania) — w centrum naszego kontynentu rozwinęły się procesy normalizujące sytuację.

Po dramatycznych wydarzeniach, kiedy to chadecka opozycja postawiła tzw. konstruktywne votum zaufania, które mogłoby bez wyborów zmienić ekipę rządzącą w Bonn, Bundestag — kilkakrotnie zresztą zwlekając — ratyfikował ostatecznie układy ze Związkiem Radzieckim i Polską. Podpisano porozumienie na temat Berlina zachodniego. Zawarty został między NRD i NRF układ komunikacyjny, a w ostatnich dniach roku — układ o podstawach wzajemnych stosunków. Teraz bliska już może być perspektywa przyjęcia dwu państw niemieckich do ONZ. Pewien optymizm zarysował się co do przebiegu rozmów czechosłowacko-zachodnioniemieckich, które dotyczą uznania układu monachijskiego za nieważny od samego początku.

Zatem tylko w 1972 roku w procesie normalizowania sytuacji w oparciu o realia europejskie dokonało się więcej niż w całym powojennym ćwierćwieczu. Polityka krajów wspólnoty socjalistycznej zatriumfowała.

Gdyby pokusić się o ocenę, jaka tematyka zajmowała najwięcej miejsca w europejskich publikacjach, z pewnością okazałoby się, że niemiecka. Był bowiem po temu jeszcze jeden powód — wybory w NRF.

Wybory są zazwyczaj wewnętrzną sprawą danego kraju. Ale bywa, że mogą wpływać na sytuację międzynarodową. Stawka wyborów w NRF była wysoka, najbliższe lata mają przecież przynieść realizację podpisanych przez rząd NRF układów i porozumień. Złożone podpisy musi respektować każdy gabinet, ale nie jest bez znaczenia — z jakim zaangażowaniem będzie się wprowadzać w życie podjęte zobowiązania.

Dlatego wybory w NRF, rozpisane przedterminowo, przykuwały uwagę Europy. Późnym wieczorem 19 listopada nadeszła pocieszająca wiadomość: wyborcy zachodnioeuropejscy obdarzyli zaufaniem partie dotychczasowej koalicji rządowej — SPD i FDP. Bundestag nowej kadencji nie będzie już paraliżowany równowagą głosów. Realistyczna polityka zagraniczna Brandta przyniosła mu ponownie fotel kanclerski. Pierwsze po wyborze oświadczenie nowego kanclerza zapowiada aktywny udział NRF w procesach odprężeniowych.

Przez likwidację zapalnego ogniska, jakim przez lata całe była NRF ze swoją polityką nieuznawania faktów i rewanżyzmu, Europa może wygrać wielką szansę trwałego pokoju.

W mijającym roku na naszym kontynencie odbyły się kolejne Igrzyska Olimpijskie. Pamiętamy wszyscy przeżywane emocje rywalizacji sportowych. Lecz pamiętamy również, że brutalniej niż kiedykolwiek w sport wkroczył jeden z nierozwiązanych problemów politycznych świata — problem Palestyńczyków. Krwawy incydent w Monachium zakłócił piękną imprezę i miał określone reperkusje polityczne na Bliskim Wschodzie.

Bilans wydarzeń europejskich 1972 roku w rozmiarach globalnych jest pomyślniejszy niż w jakimkolwiek innym okresie. W nowy rok wejdziemy więc z uzasadnionym optymizmem.

POLSKA

Polska jest tylko jednym z 33 krajów europejskich — ani rozległym terytorialnie, ani wielkim liczebnie. A przecież nasza pozycja, nasz głos w sprawach międzynarodowych liczy się w świecie.

Rok 1972 szczególnie to udowodnił. Nie tylko dlatego, że po raz pierwszy przewodniczącym sesji Zgromadzenia Ogólnego NZ został przedstawiciel Polski i nie tylko dlatego, że w pierwszym etapie wielostronnej konsultacji w Helsinkach odegraliśmy znaczną rolę.

Okres 12-miesięczny był okresem nieustającej aktywności polskiej polityki, której miernikiem mogą być również przyjmowane i składane wizyty. Jeśli wymienić tylko najważniejsze — przypomnieć trzeba:

o stałych bezpośrednich kontaktach naszego kierownictwa partyjnego i państwowego z przywódcami bratnich partii i krajów socjalistycznych,

o warszawskich rozmowach prezydenta Nixona, prezydenta Tito, Fidela Castro, Kurta Waldheima...

o paryskiej wizycie Edwarda Gierka i sztokholmskiej Piotra Jaroszewicza,

o dziesiątkach podróży min. S. Olszowskiego do stolic europejskich i pozaeuropejskich oraz wizytach ministrów spraw zagranicznych, a także innych osobistości politycznych, w Warszawie.

Nasza polityka zagraniczna ściśle zespolona z polityką Związku Radzieckiego i innych krajów socjalistycznej wspólnoty, służy społeczno-gospodarczemu rozwojowi Polski i kieruje się niezmiennie zasadami braterstwa z krajami socjalizmu oraz pokojowego współistnienia z krajami o odmiennych ustrojach.

Właśnie z faktu, że polska polityka zagraniczna jest nakierowana na utrwalenie pokoju, stworzenie systemu zabezpieczającego go oraz na współpracę — wynikają jej możliwości czynnego uczestniczenia w głównym nurcie rozwoju stosunków międzynarodowych.

Do tego nurtu w 1972 roku włączyliśmy się pełniej niż w minionych latach — zgodnie z zobowiązaniem, jakie nałożone zostało na naszą politykę zagraniczną przez VI Zjazd PZPR.

Odnotujmy tu z największym zadowoleniem zbieżność faktu aktywizowania naszych stosunków międzynarodowych ze wzmocnieniem jedności socjalistycznej wspólnoty i dynamicznym rozwojem społeczno-gospodarczym Polski.

INDOCHINY

Mniej pomyślnie niż w Europie rozwijała się sytuacja na Półwyspie Indochińskim. Przez cały rok nadal toczyła się wojna w Wietnamie, a na początku maja doszło nawet do jej wyraźnej eskalacji.

W odpowiedzi na pomyślnie rozwijającą się ofensywę sił wyzwoleńczych — prezydent Nixon powziął decyzję o zaminowaniu dostępu do portów północnowietnamskich oraz nasileniu bombardowań DRW. Był to w wojnie wietnamskiej kolejny desperacki krok ze strony Stanów Zjednoczonych — ryzykowny i niebezpieczny dla światowego pokoju.

W złożonym wówczas przez rząd DRW oświadczeniu podkreślono, że decyzja Nixsona zmierza do rozbicia rokowań paryskich, które USA próbowały prowadzić z pozycji siły. Wcześniej — w tajnych rokowaniach w Paryżu — zgłosiły one 8-punktowy plan rozwiązania problemu wietnamskiego, który nie dawał podstaw do przywrócenia pokoju. Plan ten jednostronnie ujawniony został przez Nixona — najprawdopodobniej z myślą o kampanii wyborczej w Stanach Zjednoczonych.

Po tych faktach przez ponad 2 miesiące trwała przerwa w konferencji paryskiej i poufnych kontaktach między USA i DRW.

Wznowione w połowie lipca rozmowy przyniosły później uzgodnienie projeku porozumienia o zaniechaniu działań wojennych w Wietnamie. Ale kiedy już wydawało się, że wojna dobiegnie końca — Waszyngton, pod naciskiem broniącego się przed pokojem reżimu sajgońskiego, zażądał dalszych poufnych rozmów. Trwały one do połowy grudnia i — jak dotychczas — nie przyniosły wstrzymania działań militarnych.

Jednak nadzieje na pokój w Wietnamie są obecnie większe niż przed rokiem, a zaniechanie ognia jest chyba tylko kwestią czasu. Mimo to przed Wietnamem do rzeczywistego pokoju droga jeszcze daleka.

BLISKI WSCHÓD

Bez rzeczywistego postępu w kierunku pokojowych rozwiązań rozwijała się sytuacja na Bliskim Wschodzie.

Izrael nie zrealizował znanej rezolucji Rady Bezpieczeństwa, której wykonanie jest warunkiem przywrócenia pokojowej stabilizacji. Odwrotnie — kontynuował kroki, umacniające jego władzę na zagarniętych terytoriach arabskich. Nie zaniechał też licznych działań prowokacyjnych, wykorzystując dla tych celów również tragedię monachijską. Zachęcały go do tego ciągłe dostawy amerykańskich samolotów bojowych.

Przez dużą część roku trwała misja amb. Jarringa, lecz nie mogła ona w tych warunkach przynieść oczekiwanych rezultatów.

Aneksyjne poczynania Izraela spowodowały przyjęcie przez Zgromadzenie Ogólne NZ rezolucji, wzywającej ten kraj do publicznego oświadczenia, że przestrzegać będzie zasad wyrzeczenia się aneksji terenów przy użyciu siły. Rezolucja odzwierciedla stanowisko większości członków ONZ wobec zmian, jakie wprowadził Izrael na ziemiach arabskich, nie przyjmując ich do wiadomości.

Równocześnie 1972 rok był okresem wielu wewnętrznych procesów w świecie arabskim, z których nie wszystkie konsolidowały go. Zwłaszcza z ostrą odprawą spotkał się plan króla Jordanii — Husajna w sprawie utworzenia jordańsko-palestyńskiej federacji. Plan został uznany przez większość krajów arabskich za akcję separatystyczną oraz próbę rozbicia postępowego świata arabskiego. Propozycja Husajna doprowadziła do zerwania przez Egipt stosunków dyplomatycznych i handlowych z Jordanią. Odpowiedzią na nią było również wysunięcie projektu unii iracko-syryjsko-egipskiej.

Wydarzeniem w połowie roku było opuszczenie przez radzieckich specjalistów Egiptu, po zakończeniu wyznaczonej im misji.

Aktualna sytuacja na Bliskim Wschodzie nie zwiastuje rychłego pokojowego rozstrzygnięcia konfliktu.

STANY ZJEDNOCZONE

Największym wydarzeniem w mijającym roku były dla Stanów Zjednoczonych wybory prezydenckie.

Początek kampanii zapowiadał nie lada sensację. Partia demokratyczna, choć nie jednomyślnie, wysunęła kandydaturę McGoverna, który w swoim programie kładł szczególny nacisk na pośpieszne zakończenie wojny wietnamskiej i redukcję wydatków na zbrojenia. Oskarżał on administrację Nixona, że zaniedbała wiele okazji do wycofania się z militarnego udziału w Wietnamie.

McGovern przegrał swą szansę — wysokie zwycięstwo odniósł Nixon, który tuż przed wyborami zręcznym manewrem przechwycił inicjatywę w sprawie Wietnamu i odebrał konkurentowi do prezydenckiego fotela czołowy jego atut.

O ponownym wyborze Nixona na stanowisko prezydenta USA zdecydowała nadzieja wyborców, że będzie on wprowadzał w życie moskiewskie porozumienia i nadal, po swej lutowej wizycie w Pekinie, normalizował stosunki Stanów Zjednoczonych z ChRL.

20 stycznia Nixon oficjalnie rozpocznie swą drugą kadencję. Miejmy nadzieję, że będzie on sterował amerykańską polityką zagraniczną nie w kierunku konfrontacji, a negocjacji — tak, jak to kiedyś głosił w swym programie. Nie będzie to wyraz jego dobrej woli, lecz obiektywnej konieczności — alternatywą pokoju jest bowiem tylko totalne zniszczenie świata. Zresztą żaden polityk nie może lekceważyć realiów, a te wskazują na dalsze umocnienie się w świecie sił antywojennych. Wspierają je pokojowe inicjatywy krajów socjalistycznych, pełna zaangażowania w obronę pokoju polityka Związku Radzieckiego. W sumie więc u końca 1972 roku nie brak podstaw do optymizmu.

W. SŁAWSKI

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), KAROL BADZIAK, KONRAD FREJDLICH, ANDRZEJ GRUN (redaktor graficzny), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, CELINA PALUCH (redaktor techniczny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), MAREK WAWRZKIEWICZ, JERZY WILMAŃSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji).

JUTRO ZACZYNA SIĘ DZIŚ

Dalszy ciąg ze str. 1

Pomyślnie wykonano zadania budowy wodociągu Sulejów—Łódź. Zwiększenie nakładów inwestycyjnych pozwoli na skrócenie terminu wybudowania tej wielkiej łódzkiej inwestycji o około osiemnaście miesięcy. Wodociąg byłby więc oddany do użytku, jeśli nie zdarzą się jakieś niespodzianki, w końcu 1973 roku, a najpóźniej w pierwszych dniach 1974. To z kolei pozwoli na wcześniejsze wykonanie planu rozbudowy sieci rozdzielczej wodociągów i dalszego zaspokojenia potrzeb ludności w wodę.

Oddaliśmy do użytku wszystkie zaplanowane obiekty szkolne, wyremontowaliśmy w terminie wszystkie szkoły, które remontów wymagały. W pełni wykonano plan kapitalnych remontów urządzeń komunalnych oraz plany w zakresie budowy nowych dróg komunikacyjnych i przebudowy starych.

Napięte plany 1972 roku wykona także energetyka, co ma bardzo istotne znaczenie dla rozwoju miasta z uwagi na konieczność zrównoważenia bilansu ciepła i mocy energetycznych. Nowe inwestycje przemysłowe, modernizacja przemysłu, rozwój budownictwa mieszkaniowego, gospodarki miejskiej, komunikacji, usług i szeregu innych działów komunalnych, wymagają stałego rozwoju źródeł mocy energetycznych.

W 1972 roku oddaliśmy do eksploatacji m. in. duże zakłady dziewiarskie „Kalina" na Nowych Sadach. Inne, takie jak kombinat dziewiarsko-konfekcyjny „Teofil" na Teofilowie, zakłady mięsne, fabryka pluszów i dywanów im. Tadka Ajzena, kombinat dziewiarski, przędzalnia czesankowa „Polanil", zakłady włókien igłowych, elektrociepłownia EC-III są bardzo zaawansowane w budowie. Terminowo przebiega rozbudowa zakładów radiowych „Fonica". Przewidujemy, iż wspomniane obiekty przemysłowe zostaną oddane do eksploatacji w zaplanowanych terminach lat 1973 i 1974.

Na podstawie danych do końca listopada br., mogę już dziś powiedzieć, że bardzo dynamiczny plan gospodarczy 1972 r. zostanie wykonany terminowo i prawie we wszystkich działach. A w niektórych nawet przekroczony. Plan roku 1972 cechowało wysokie konto wzrostu zadań. W szczególności w gospodarce inwestycyjnej był on wyższy o 35 proc. od wykonania planu inwestycji w roku 1971. Jak z tego widać plany tego roku, mimo swej wysokiej dynamiki, okazały się w pełni możliwe do wykonania.

— Czemu należy zawdzięczać tak pomyślne wyniki wykonania planu?

— Przede wszystkim lepszemu przygotowaniu zadań do realizacji, lepszej organizacji pracy, większej gospodarności, pracowitości i ofiarności załóg fabrycznych, załóg budowlanych, zatrudnionych przy wznoszeniu obiektów przemysłowych, mieszkalnych, komunalnych, dzięki rzetelnemu wysiłkowi wszystkich ludzi pracy w naszym mieście.

W akcji dwudziestu miliardów, załogi łódzkich zakładów pracy wykonały i przekroczyły swe zobowiązania, dając dodatkową produkcję wartości ponad jednego miliarda złotych, w tym ponad sześćdziesiąt procent wartości w towarach, przeznaczonych na rynek wewnętrzny. Należy również podkreślić ofiarność naszego społeczeństwa w realizacji czynów społecznych, ocenianych na około sto milionów złotych.

— Czy plan gospodarczy na 1973 rok jest równie napięty?

— Tak. Zadania planu na 1973 rok są wyższe od zadań, przewidzianych w wycinku planu 5-letniego na ten rok. Podstawę do śmiałych i zwiększonych zadań planu na rok przyszły stworzyło pomyślne wykonanie napiętego programu bieżącego roku. Można by powiedzieć, że rok 1972 przygotował dobry start do roku 1973.

Nakłady inwestycyjne będą wyższe o 34 procent, w porównaniu z planem tegorocznym. Zakładamy wybudowanie 28 i pół tysiąca nowych izb mieszkalnych, czyli o dwa tysiące więcej niż w 1972 roku. Wybudujemy 50 km sieci wodociągowej, 20 km sieci kanalizacyjnej, około 14 km nowych dróg i ok. 60 nowych lokali handlowych. Obroty handlu wzrosną o około 10 proc. i tym samym poprawi się zaopatrzenie naszego miasta w artykuły żywnościowe i przemysłowe. Uruchomimy wodociąg Sulejów—Łódź. Budżet miasta zwiększy się o 20 proc. w porównaniu z budżetem ubiegłego roku, a wzrost środków zostanie przeznaczony głównie na ochronę zdrowia, powiększenie norm wyrywieniowych w szpitalach, domach ...iecka i domach dla starców oraz na oświatę i częściowo na gospodarkę komunalną. Plan przewiduje także znaczny wzrost nakładów na rozwój usług socjalno-bytowych dla ludności.

Dzięki przekazaniu do eksploatacji nowych fabryk, modernizacji starych obiektów przemysłowych, uruchomieniu nowoczesnych parków maszynowych w niektórych zakładach przemysłowych oraz wprowadzeniu nowych technologii, w 1973 roku nastąpi znaczny wzrost produkcji globalnej.

— Czy doświadczenia ubiegłego roku spowodowały jakieś zmiany w samej strukturze planu na rok 1973?

— Tak. Ma on szczególne cechy. Był inaczej modelowany. Wpłynęły na to właśnie doświadczenia minionego roku, mianowicie prace nad programowaniem planu na rok przyszły rozpoczęto już w pierwszej połowie 1972 roku. Dzięki temu było dość czasu na głębszą analizę potrzeb, na zbilansowanie ich i przedyskutowanie projektu planu z odpowiednimi resortami oraz prezydiami dzielnicowych rad narodowych. Mogliśmy też przeprowadzić szerszą konfrontację planu terenowego z planem centralnym w dziedzinie potrzeb rozwojowych miasta. Plan uwzględnia więc różne wnioski, opinie i oceny merytoryczne, nie zaskakuje swymi propozycjami.

Cechuje go też duża dynamika, bowiem zakłada on znaczne przyśpieszenie realizacji tych wszystkich zamierzeń, które polepszą warunki socjalno-bytowe ludzi pracy. Odchodzimy w nim od tradycyjnych metod ustalania planu przy pomocy wskaźników. Teraz programowaliśmy plan pod kątem rozwiązania pilnych problemów miasta i jego mieszkańców.

Powiedziałbym jednak, iż najbardziej charakterystycznym elementem planu gospodarczego na rok 1973 jest jego rozmach, graniczący z przemyślanym ryzykiem. Zaważyły na tym dwa względy. Po pierwsze — plan bazuje na potrzebach rozwojowych miasta i po drugie — napinając plan 1973 roku, złagodzimy szczyt zwiększonych zadań w latach 1974—75. Celem tej idei jest zatem wcześniejsze rozładowanie ewentualnych napięć w ostatnim roku pięciolatki.

— Jakie istnieją gwarancje wykonania planu 1973 roku?

— Plan tegoroczny mimo, iż mocno napięty, będzie wykonany pomyślnie, mamy więc już spore doświadczenie i nie widzimy powodów, dla których nie mógłby być wykonany plan 1973 roku. Zdajemy sobie sprawę, że jego wykonanie będzie wymagało zwiększonych mocy przerobowych przedsiębiorstw budowlanych, powołania nowych jednostek wykonawstwa budowlanego w zakresie prac inżynieryjnych, kolejowych, rozbiórkowych, elewacyjnych, wodociągowych, kanalizacyjnych i szeregu innych. Kładziemy duży nacisk na zaopatrzenie naszych jednostek w nowoczesny sprzęt mechaniczny. Decyzją Ministerstwa Budownictwa i Przemysłu Materiałów Budowlanych Łódź otrzyma w przyszłym roku pełne zaopatrzenie w maszyny budowlane — dźwigi, koparki i środki transportu. Ta sama decyzja zapewnia Łodzi rytmiczne zaopatrzenie materiałowe.

Dążymy do pełnego wyzwalania rezerw produkcyjnych, które są ważnym elementem zwiększenia mocy produkcyjnych, na co wskazuje doświadczenie przy realizacji tegorocznego planu gospodarczego. Kładziemy bardzo silny nacisk na stałe polepszanie organizacji i wprowadzanie nowoczesnych metod pracy, na gospodarność, dyscyplinę pracy. Znalazło to swój wyraz w szeregu zmian organizacyjno-strukturalnych, jak również przesunięciach kadrowych w jednostkach, podporządkowanych Prezydium Rady Narodowej m. Łodzi.

Zarówno plan gospodarczy 1972 roku, jak i 1973 roku mają na uwadze najbardziej żywotne interesy miasta i jego mieszkańców, są integralną częścią Programu Rozwoju i Modernizacji Łodzi. Społeczeństwo Łodzi, pracując sumiennie i ofiarnie, daje każdego dnia dowody poparcia dla Wytycznych VI Zjazdu Partii i polityki społeczno-ekonomicznej naszej partii i rządu, zmierzającej do wzrostu stopy życiowej mas pracujących.

Niech mi będzie wolno, w imieniu Prezydium Rady Narodowej m. Łodzi, złożyć serdeczne podziękowanie wszystkim ludziom pracy naszego miasta za rzetelną i ofiarną pracę przy realizacji zadań planu gospodarczego w 1972 roku oraz życzyć wszelkiej pomyślności w Nowym — 1973 — Roku.

Rozmawiał:
WŁODZIMIERZ STOKOWSKI

Dalszy ciąg ze str. 1

— Jak ukształtowała się realizacja planowych inwestycji?

— Planowane nakłady inwestycyjne w gospodarce uspołecznionej, wynoszące 8,4 mld zł, zostały wykonane w 97 proc., tj. znacznie wyżej, aniżeli w roku 1971. Dodać przy tym trzeba, że nakłady na rok 1972 były wyższe o około 2 mld zł od ustalonych na rok 1971. Dzięki temu oddano do użytku szereg ważnych dla województwa inwestycji w przemyśle, rolnictwie, gospodarce komunalnej, oświacie i kulturze, służbie zdrowia i rekreacji, handlu i usługach.

Znacznie przekroczono też plan uspołecznionego budownictwa mieszkaniowego.

— W województwie łódzkim problemem była zawsze praca przedsiębiorstw budowlanych.

— W tym roku przedsiębiorstwa budowlane zamykają się pozytywnym bilansem. Pomyślna realizacja ogólnych zadań produkcyjnych w ujęciu wartościowym, wynikająca ze wzmożonej pracy na placach budowy, pozwoliła większości przedsiębiorstw wykonać swoje zadania przed terminem.

— A ogólna ocena ubiegłego roku?

— Miniony okres charakteryzował się dużą dynamiką wzrostu siły nabywczej ludności oraz dużym wzrostem obrotów w wyniku poprawy zaopatrzenia rynku. Globalna równowaga rynkowa została utrzymana i wzmocniona na przestrzeni roku. Można zatem powiedzieć, że miniony rok był okresem bardzo dynamicznego rozwoju województwa, w którym nastąpił istotny postęp w rozwoju sił wytwórczych i dalsza poprawa warunków pracy i życia mieszkańców ziemi łódzkiej.

— Jaki postęp osiągnięto w procesie integracji Łodzi i województwa łódzkiego, które pod wieloma względami stanowią jednolity region gospodarczy?

— Już co najmniej od dwóch lat współpraca województwa łódzkiego z Łodzią coraz bardziej się zacieśnia, postępują procesy integracyjne w dziedzinie gospodarki, kultury i nauki oraz problematyki społecznej. Regularnie raz w kwartale odbywają się spotkania obydwu prezydiów poświęcone istotnym problemom związku województwa z miastem. Dotyczy to w szczególności spraw:

Wspólnego bilansowania siły roboczej. Aktualnie do pracy w Łodzi dojeżdża około 35 tys. osób, a z Łodzi do województwa wyjeżdża 4 tys. osób;

Rozbudowy sieci urządzeń komunalnych, szczególnie zaś poprawy komunikacji podmiejskiej (MPK w Łodzi uruchomiło już komunikację samochodową w Zgierzu i Pabianicach), rozbudowy systemu urządzeń doprowadzających wodę z Pilicy do Łodzi oraz przygotowania założeń do budowy Grupowej Oczyszczalni Ścieków dla miast Łódzkiej Aglomeracji Miejskiej w rejonie Konstantynowa;

Fot. E. Kudaj

I wreszcie usług. A tu najważniejsza jest poprawa warunków kształcenia w Łodzi młodzieży, pochodzącej z województwa łódzkiego. Spośród około 6 tys. młodzieży z województwa kształcącej się w Łodzi, wiele osób korzystać będzie z internatów na skutek wspólnych ustaleń władz miejskich i wojewódzkich. W 1971 roku oddano w Łodzi internat na 200 miejsc. W tym samym roku rozpoczęto budowę drugiego takiego internatu, budowa trzeciego internatu rozpocznie się w 1973 roku.

— To chyba nie wszystko?

— Nie. Np. w dziedzinie opieki zdrowotnej łódzka służba zdrowia świadczy znaczne usługi dla ludności województwa, zwłaszcza ludności ŁAM, a ponadto, w ramach nakładów na inwestycje wspólne. Województwo partycypować będzie w budowie pawilonu onkologicznego w Łodzi.

W dziedzinie rolnictwa i rozbudowy bazy wyżywieniowej dla miast ŁAM, z inicjatywy Prezydium WRN buduje się wielki kombinat ogrodniczy na licencji bułgarskiej.

Współpraca województwa z Łodzią polega przede wszystkim na kooperacji i budowie oddziałów filialnych łódzkich zakładów w województwie. Poza tym rozbudowujemy i modernizujemy drogi wylotowe z Łodzi oraz pozostałej części ŁAM.

— A poza tym?

— Lokalizacja wspólnych dzielnic przemysłowych, np.: Srebrna — Smulsko pod Konstantynowem, w której lokalizowane będą odtworzeniowe zakłady przemysłowe Łodzi wspólne z rozbudowywanym przemysłem Konstantynowa.

Dość znaczne procesy integracyjne zachodzą w dziedzinie wypoczynku i turystyki. Zbudowane w województwie ośrodki wypoczynkowe, jak np.: OWS „Bugaj" w Pabianicach, „Chełmy" koło Zgierza, „Rochna" koło Koluszek i inne — służą zaspokojeniu potrzeb rekreacyjnych również mieszkańców Łodzi.

Ostatnią wspólną inicjatywą władz miasta i województwa jest przygotowanie budowy dużego ośrodka w Smardzewie pod Łodzią.

— Rok ubiegły był okresem przygotowania do zasadniczej reformy administracji państwowej. Jakie korzyści powstaną w najbliższym czasie w wyniku zmian w systemie zarządzania wsią i z jakimi trudnościami i kłopotami w tej dziedzinie należy się liczyć?

— Korzyści, jakie przyniesie reforma, będą odczuwalne we wszystkich dziedzinach życia społeczno-gospodarczego wsi. Gminne rady narodowe wyposażono w szerokie uprawnienia, które pozwolą im daleko skuteczniej — niż mogły to czynić gromadzkie rady narodowe — spełniać funkcje gospodarza terenu.

Utworzenie gmin, które będą znacznie silniejszymi gospodarczo i większymi obszarowo i ludnościowo jednostkami — niż dotychczasowe gromady — pozwoli na wyposażenie ośrodków gminnych we wszystkie niezbędne dla zaspokajania potrzeb bytowych i produkcyjnych mieszkańców wsi instytucje usługowe, socjalne, handlowe itp. placówki.

Najlepsze koncepcje i uchwały nie rozwiążą — bez zapewnienia sprawnego wykonania — problemów, o których decydować będą gminne rady narodowe. W tym celu powołano naczelników gmin, którzy, będąc wykonawczym i zarządzającym organem gminnej rady narodowej, będą jednocześnie kierowali administracją państwową w gminie.

— Jakie są najważniejsze zadania gospodarcze, społeczne i kulturalne na rok nadchodzący?

— Podstawowe zadania w nadchodzącym roku sprowadzają się do zapewnienia dalszej poprawy warunków pracy i życia ludności pracującej w przemyśle, usługach, rolnictwie, budownictwie i pozostałych działach produkcji materialnej oraz dalszej rozbudowie i unowocześnianiu potencjału wytwórczego oraz infrastruktury społecznej.

Przychody pieniężne ludności w roku 1973 będą wyższe o około 9,5 proc. od przychodów w roku 1972 oraz o ponad 6 proc. w stosunku do założeń planu 5-letniego na rok 1973. Przychody ludności rolniczej ze sprzedaży produktów rolnych powinny wzrosnąć o ponad 9 proc.

Projekt planu na rok 1973 w podstawowych dziedzinach przekracza zadania ustalone w planie 5-letnim na rok bieżący. Produkcja przemysłowa np. dorównuje ustaleniom z 1974 roku, a rozmiary dostaw rynkowych osiągnęły już poziom roku 1975. Wartość projektowanego obrotu towarowego jest o 2,1 mld zł wyższa od zadań 1975 r. Wyższe będą ponadto o ponad 6 proc. od szacunków planu 5-letniego przychody pieniężne ludności.

W dziedzinie budownictwa mieszkaniowego efekty rzeczowe są wyższe o ponad 114 tys. m kwadratowych powierzchni użytkowej od ustaleń planu 5-letniego dla 1973 roku. W dziedzinie rozwoju usług socjalnych najbardziej zaawansowana jest realizacja założeń planu 5-letniego w zakresie rozwoju sieci wiejskich ośrodków zdrowia i budowie szpitali.

Rozmawiał:
LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Korespondencja z Węgier

KRZYSZTOF POGORZELEC

MIĘDZY DZIECKIEM, SAMOCHODEM I MIESZKANIEM

— Kawę to u nas pije się jednym haustem, bo tylko wtedy... dziewczyna jest wierna!

Zoltan śmiejąc się zapraszał do spróbowania prawdziwej — jak mówił — po węgiersku przyrządzonej kawy, dodając mimochodem, że kiedy był w Polsce to wszystko mu się podobało, nawet do obsługi w naszych restauracjach powoli się przyzwyczaił, ale co do kawy...

Pominęliśmy tę kwestię milczeniem zawierającym tak aprobatę jak i niesłychanie, na gruncie międzynarodowym popularna ostatnio zasadę „consensus". Pomogła nam w tym walnie mała osóbka, niesłychanie barwnie ubrana, która raczej niespodziewanie wtargnęła z impetem do pokoju, z rozmachem acz celnie rzuciła do kąta worek z kapciami i sadowiąc się w głębokim fotelu zagadnęła:

— **Jest aniu!**

Tutaj należy się P. T. Czytelnikom wyjaśnienie. Otóż tak już jest od początku tego mimo wszystko najlepszego ze światów, że pod każdą szerokością i długością geograficzną pierwszym słowem wypowiedzianym przez statystycznie „średniego" malucha, jest słowo MAMA lub też dźwięk bardzo do tego słowa zbliżony. Zgoła inaczej jest na Węgrzech. Tutaj zamiast MAMA mówi się ANIU.

Ani (czy tak się to słowo odmienia?) akurat nie było, wyszła po zakupy, więc Zoltan, zbierając po drodze do kuchni porozrzucane niedbale części wierzchniej garderoby malucha, wziął się spiesznie do przygotowania posiłku dla widocznie zniecierpliwionej nieobecnością a n i córy.

— **Jedynaczka** — tłumaczył nieco speszony bezceremonialnością malucha. — **Sami to wiecie...**

Spojrzeliśmy po sobie z wyrozumieniem.

Jest faktem, że na Węgrzech dzieciarni bardzo, ale to bardzo wiele wolno. Jak się to mówi: chucha się na nią i dmucha. Byłem świadkiem, gdy na występie takiego węgierskiego „Mazowsza" dzieciaki wręcz opanowały widownię, jeśli nie cały teatr, narzuciły — zresztą bardzo sympatyczny — sposób bycia i reagowania na widowisko, a towarzyszący swoim corkom, synom czy wnukom mamy — przepraszam, anie, babcie tudzież tatusiowie najchętniej stanęliby się niewidoczni, zostawiając we władaniu swoich pociech zarówno salę teatru jak i jego aktorów.

Czym taką dużą tolerancję... i odporność nerwową dorosłych wytłumaczyć — to pytanie zadawałem sobie na Węgrzech niejednokrotnie, obserwując jakimi najmłodsze pokolenie Madziarów cieszy się tutaj pisanymi i tradycyjnymi przywilejami. Na przykład każdego wczesnego ranka w pobliżu hotelu „Budapeszt", gdzie miaszkałem, zatrzymywał się biały tramwaj nie oznaczony żadnym numerem. Po paru takich przystankach był już po brzegi wypełniony rozkrzyczaną dzieciarnią; tym właśnie specjalnym tramwajem i pod opieką wychowawczyń udającą się do swoich przedszkoli. Natomiast w Ministerstwie Handlu Wewnętrznego jeden z jego dyrektorów departamentu — dr Peter Soos, obok wielu innych niezwykle ciekawych rzeczy zdradzających węgierskie sklepy i gastronomię, powiedział mi:

— **W Budapeszcie mamy specjalne, duże przedsiębiorstwo, którego jedynym zadaniem jest przyrządzanie posiłków, które w gotowej postaci rozwożone są następnie do przedszkoli, żłobków i szkół...**

Hm, może to jest powód lekceważenia z jakim mała Ilonka przyjęła kulinarne dokonania swojego taty?

Wszystko to — przyznaję — nie układało mi się w jednoznaczny obraz. No tak, bo nim wylądowałem na budapeszteńskim lotnisku, to i owo przeczytałem, zajrzałem do międzynarodowych statystyk i publikacji traktujących o problemach naszych naddunajskich „bratanków". Z tych danych wyłaniała się co najmniej złożona sytuacja demograficzna współczesnych Węgier. I trudno o inny pogląd, jeśli zna się konkretne liczby. A wyglądają one tak: w latach 1950—59 przyrost naturalny na Węgrzech kształtował się średnio w roku na poziomie 8,2 promille. Ale w roku 1960 obniżył się gwałtownie — bo do 4,5 promille, by w pięć lat później spaść do 2,5 promille. Lata 70-te też nie przyniosły, niestety, w tej dziedzinie wyraźniejszej poprawy. Około 1/3 wszystkich węgierskich rodzin nie posiada dziecka, a 34 proc. — jedno. Biorąc łącznie, na każde 100 węgierskich rodzin przypadało ledwie 126 dzieci! Podobno jest to co najmniej europejski, jeśli nie światowy rekord. Nic dziwnego, że demografowie węgierscy uderzyli na alarm: nie tylko starzejemy się jako społeczeństwo — mówili — ale ponadto jest nas, Węgrów, coraz mniej! Trzeba, przez odpowiednią politykę społeczną temu zjawisku możliwie szybko zaradzić!

Ilonka, córka Zoltana i Margit, była więc jednym z tych 126 dzieci, które przypadają na 100 węgierskich rodzin. Napisałem — w ę g i e r s k i c h, bo rzecz ciekawa, w Budapeszcie, który skupia 20 proc. wszystkich mieszkańców kraju, sytuacja jest jeszcze bardziej złożona i wręcz trudno mówić o dodatnim „saldzie" przyrostu naturalnego.

* ☆ *

Polski turysta, który najczęściej „odbiera" Węgry przez pryzmat bogatych witryn sklepowych ulic Kossutha, Rakoczego czy Vaci utca, bądź też hotelowej oprawy Balatonu, być może w tym miejscu lekceważąco potraktuje spostrzeżenia zarówno samego autora tego reportażu (co jestem mu skłonny w pełni wybaczyć) jak i zatrwożone głosy węgierskich specjalistów od spraw demografii. Może jednak do jego wyobraźni przemówią inne jeszcze fakty, które przytaczam za Tadeuszem Olszańskim — świetnym znawcą problemów narodu Madziarów. Potwierdza on — na podstawie rozmów w Ministerstwie Pracy WRL — opinię, że społeczeństwo węgierskie starzeje się. Już w roku 1960 blisko 14 proc. ludności tego kraju przekroczyło barierę 60 lat, a w pięć lat później wskaźnik ten podskoczył do 15,5 proc. Zresztą odstawmy na bok te procenty. Mamy szacunek dla zdolności nabywczej węgierskiej waluty — forinta, więc może te liczby coś Wam, Czytelnicy, więcej powiedzą: na przestrzeni kilku ostatnich lat kwota wypłaconych przez państwo emerytur wzrosła — i to nie na skutek podwyżek — z 4,5 miliarda do przeszło 10 miliardów forintów.

To już jest problem społeczny i gospodarczy.

Kiedy w rozmowie z dyrektorem sławnych w całej Europie budapeszteńskich zakładów „Kabel" — Gezą Dobzszai'em doszliśmy do ciekawego projektu rozwoju produkcji tego typu wyrobów, jakimi para się ten zakład — w kooperacji z przemysłami krajów socjalistycznych w ramach wspólnej organizacji „Interkabel", powiedział otwarcie:

— **Widzimy tylko dwie drogi rozszerzenia produkcji, która przecież decyduje o nowoczesności, stanie łączności w naszych krajach. Po pierwsze — to zastępowanie siły człowieka coraz to nowocześniejszymi maszynami, a po drugie — współdziałanie z innymi krajami socjalistycznymi, które dysponują także odpowiednim potencjałem, rezerwą siły ludzkiej. Nasze możliwości w tej dziedzinie już się chyba wyczerpały.**

Jest to opinia praktyka kierującego wielkim zakładem przemysłowym. Ale w tym względzie, nad tą częścią Dunaju, panuje wyjątkowa zgoda. Nie tylko przemysł cierpi na brak młodych rąk do pracy, ale jeszcze bardziej daje o sobie znać to zjawisko w rolnictwie, bardzo zmechanizowanym, lecz przecież i maszyna potrzebuje istotnego „dodatku" — człowieka.

* ☆ *

— **Sytuacja jest skomplikowana, posunięcia kierownictwa partii i rządu, m. in. w dziedzinie stosowania wysokiej progresji zasiłków dla rodzin posiadających więcej jak jedno dziecko, prawa pierwszeństwa do nowego mieszkania, przyniosą, ale dopiero stopniowo, po pewnym czasie, pozytywne rezultaty. Musimy też znaleźć odpowiednią receptę na inne problemy społeczne, będące także sygnałami ostrzegawczymi...**

Taką opinię wyraził w rozmowie ze mną Zoltan Szabó, dziennikarz, człowiek doskonale zorientowany w sprawach społeczno-gospodarczych swojego kraju, który wprawdzie nie ma dostępu do morza, ale posiada... port wolnocłowy na wyspie Csepel i flotyllę statków handlowych z macierzystym portem... w Szczecinie.

Są więc jeszcze inne problemy pilnie wymagające podjęcia, rozwiązania, zapobieżenia — gdzie jest to potrzebne.

Czasami dają one o sobie znać w sposób tragiczny.

Kiedy byłem na Węgrzech, prasa budapeszteńska podjęła akurat wielką dyskusję, w którą zaangażowały się najpoważniejsze naukowe autorytety, a jej przedmiotem był najświeższej daty raport Ministerstwa Sprawiedliwości o liczbie rozwodów. Wynika z niego, że nasi „bratankowie" zajmują pod tym względem — ni mniej ni więcej — tylko czwarte miejsce w świecie. W roku 1970 zanotowano 22.840 rozwodów, w rok później już 23.330, a upływający rok nie będzie pod tym względem lepszy. Jest to bardzo dużo na kraj zamieszkały przez około 10 milionów ludzi. Ciekawe — w większości przypadków stroną, która występuje o rozwód są prezdstawicielki piękniejszej części węgierskiego społeczeństwa.

Jak się to ma do sytuacji demograficznej? Odpowiedź pozostawiam specjalistom od przedmiotu.

Przy okazji tej dyskusji „na tapetę" wszedł również inny jeszcze problem. Nazywa się on — m i e s z k a n i a.

Tutaj pozwolę sobie zrelacjonować rozmowę, jaką miałem przyjemność przeprowadzić w szacownych murach budapeszteńskiego ratusza, z człowiekiem, który jest wielkim przyjacielem Polski, każdy urlop spędza w naszym kraju i nie da ani jednego złego słowa powiedzieć o Polakach; mimo tych „przypadków", dla których turystyczny wojaż nad Dunaj kończy się w okolicach hali targowej, dworca Keleti, czy w sklepach przy Vaci utca. Jest nim Laszlo Györi — dyrektor Wydziału Planowania i Ekonomiki Rady Narodowej Budapesztu.

— **Nie dziwcie się** — powiedział — **mamy po prostu kłopoty... z patyną!**

Budapeszt jest jednym z największych zespołów urbanistycznych pochodzących w swej części komunalnej z początków XIX wieku. Pomniki i dachy budowli pokryte zielonkawą patyną fascynują przybyszów, ale to także źródło poważnych problemów gospodarczych, a w konsekwencji również społecznych. Każdego ranka budapeszteńczycy z niepokojem czekają czy z radia znowu nie posłyszą prawie już zwyczajnego komunikatu o wyłączeniu dopływu wody do którejś z dzielnic stolicy. Awarie są tu rzeczą normalną. Nie wytrzymują 18- i 19-wieczne wodociągi. Więc woda. Budapeszt cierpi na pragnienie, choć ma pod bokiem Dunaj a na dodatek ma nadmiar... wody, tyle że mineralnej. Właściwości budowy geologicznej powodują, że do przypadków wręcz banalnych zalicza się to, że przy drążeniu nawet płytkich wykopów pod fundamenty, nagle wytryska gejzer najczystszej mineralnej.

Ale to jeszcze nie najważniejszy problem.

Oddaję głos dyr. Laszlo Györi:

— **Musimy i przewidujemy to, zrobić gwałtowny skok w budownictwie mieszkaniowym. Przybyszów z Polski wprawia w podziw zaopatrzenie naszych budapeszteńskich sklepów. A my z wielkim szacunkiem i niekiedy nawet z zazdrością przyglądamy się rozmachowi waszych poczynań budowlanych, w dziedzinie budownictwa mieszkaniowego i to w każdym zakątku Polski...**

105 tysięcy rodzin czeka w tej chwili w Budapeszcie na polepszenie warunków, bądź też nowe, samodzielne mieszkanie — zapisałem w swoim notesie.

Laszlo Györi:

— **My też nabieramy przyśpieszenia. Kupiliśmy cztery fabryki domów — trzy w Związku Radzieckim, jedną w Danii. Dłużej nie można tolerować sytuacji, w której nabycie i posiadanie samochodu jest łatwiejsze, prostsze, aniżeli posiadanie przez każdą rodzinę, szczególnie młodą, własnego, samodzielnego mieszkania. Może wtedy przestaniemy się starzeć, my — Węgrzy, jako społeczeństwo?**

W drodze z Budapesztu do Visegradu, gdzie na wyniosłej górze sterczą malownicze ruiny zamczyska pamiętające czasy króla Macieja Korwina, do Esztergom, w którym turystów prowadzi się do bazyliki ustępującej swoją wielkością tylko bazylice św. Piotra w Rzymie, samochód mija doskonale zachowane resztki dawnego Aquincum, gdzie za panowania rzymskiego cezara Hadriana żyło podobno 50 tysięcy mieszkańców, a amfiteatr zbudowany przez rzymskie kohorty i niewolników liczy sobie — obok zacnego wieku — 16 tysięcy wygodnych miejsc dla widzów. Od czasu do czasu wystawia się tutaj, w oprawie archaicznych murów widowiska teatralne. Sandor Novobaczy, który swoją doskonałą znajomością języka polskiego ułatwiał mi poznawać tajniki, codzienne — małe i wielkie sprawy swojego narodu, powiedział:

— **Za dwa tygodnie przeprowadzamy się tutaj z żoną od teściów. O tam, do tego bloku po prawo...**

Ucieszyłem się. Tak jak bym to ja otrzymał ten „przydział". Niech ci się w tym mieszkaniu dobrze żyje — Sandor. Tobie i twojej Elżbiecie. A może za dwa, trzy lata spotkamy się też w którejś z kafejek nad Dunajem. Tylko że już w czwórkę? Wtedy — mówiąc językiem piłkarskim — będzie przynajmniej 1:0. Dla młodości.

DOBRA SERIA

Wydawnictwo Poznańskie zdobyło sobie już od dawna sympatię miłośników literatury skandynawskiej. Systematycznie ukazująca się seria Dzieł Pisarzy Skandynawskich jest przykładem dobrze pomyślanej polityki edytorskiej Wydawnictwa, które skupia wokół siebie grono tłumaczy z języków krajów północnych. Ostatnio na korzyść zmieniła się także szata graficzna tej popularnej już serii.

Jedną z nowości, jakie ukazały się obecnie na księgarskich półkach, jest powieść „Obcy przyszedł na farmę". Autor — Mika Waltari znany jest już w Polsce z przekładów takich jego powieści historycznych, jak: „Karin, córka Monsa", „Egipcjanin Sinuhe" i „Mikael", które zresztą przyniosły mu światowy rozgłos. O poczytności fińskiego pisarza świadczy również fakt, że wydana w 1937 r. książka „Obcy przyszedł na farmę" została przetłumaczona na kilkanaście języków.

Powieść ta, o tradycyjnej konstrukcji, jest właściwie klasycznym dramatem o miłości i nienawiści. Konflikt między trójką głównych bohaterów kończy się tragiczną zbrodnią, a bohaterka zostaje sama, zdając sobie sprawę, że skończyło się jej krótkotrwałe szczęście. Życie i praca ludzi splatają się w tej powieści z życiem przyrody, jej prosta surowość jest tłem, na którym ludzkie poczynania i namiętności nabierają szczególnie ostrych konturów.

Mika Waltari „Obcy przyszedł na farmę", Wyd. Poznańskie 1972, str. 119, cena zł 16.—

„BUDOWNICZY RUIN"

Herbert Rosendorfer zafascynował się ponoć „Rękopisem znalezionym w Saragossie" i dzięki temu powstał jego „Budowniczy ruin". Powieść, która nawiązuje w swojej konstrukcji do dawniej popularnych tzw. romansów szkatułkowych, ukazała się w serii „Proza współczesna". Herbert Rosendorfer to młody pisarz austriacki, jego opowiadania często publikowane są w czasopismach niemieckich. „Budowniczy ruin" to powieściowy debiut, bardzo zresztą dojrzały i zasługujący na uwagę. Ta wielowątkowa książka jest właściwie na pół fantastyczną opowieścią o zmyślonych awanturniczych przygodach jej niezwykłych bohaterów. Główną akcję powieści Rosendorfer umiejscowił w „cygarze", które jest niczym innym, jak gigantycznym schronem przeciwatomowym o przedziwnym kształcie. Fragmenty poświęcone tematyce atomowego zagrożenia świata przeplatają się z opowiastkami o miłości, o dziwnych przygodach i fantastycznych wydarzeniach. Z ogromną swobodą posługuje się autor żartem, groteską, makabrą i liryzmem, sporo uwagi poświęcając również muzyce, o której pisze z wielką znajomością tematu. „Budowniczy ruin" to na pewno jedna z bardziej interesujących pozycji, jakie ostatnio ukazały się w serii „Proza współczesna".

Herbert Rosendorfer „Budowniczy ruin", PIW, W-wa 1972, str. 419, cena zł 30.—

„CO JEDZĄ HIPOPOTAMY"

Z wykształcenia historyk mediewista, były długoletni pracownik biblioteki British Muzeum, krytyk i publicysta kulturalny, a przede wszystkim jeden z najwybitniejszych prozaików angielskich średniego pokolenia — Angus Wilson — debiutował w roku 1949. Jest autorem kilku powieści, trzy: „Anglosaskie pozy", „Dojrzałe lata pani Eliot" i „Późne wstawanie" — zostały przetłumaczone na język polski, a także autorem kilku tomów opowiadań. Obecnie otrzymaliśmy przekład kolejnej książki Angusa Wilsona. W serii „Proza współczesna" ukazał się wybór jego opowiadań pod zabawnym tytułem „Co jedzą hipopotamy".

To właśnie przede wszystkim dzięki swoim opowiadaniom zdobył Wilson uznanie czytelników i krytyki, nie tylko zresztą w Anglii. W tej krótkiej formie najwyraźniej uwydatnia się to, co w pisarskiej postawie Wilsona jest najistotniejsze — ostrość spojrzenia na społeczeństwo angielskie, umiejętność wydobycia na światło dzienne tych zakamarków psychiki, które człowiek chce ukryć jak najstaranniej nawet sam przed sobą, wreszcie kapitalny, ironiczny dystans, jaki autor przyjmuje w stosunku do swoich bohaterów. I aczkolwiek Angus Wilson opisuje konkretne społeczeństwo, w jakże konkretnych warunkach — owe „anglosaskie pozy", to przecież to, co w jego twórczości najważniejsze sprowadza się do prawdy uniwersalnej. Wilson opisuje bowiem samotność człowieka we współczesnej cywilizacji, który jest wprawdzie otoczony przyjaciółmi i krewnymi, ale nie może i nie umie znaleźć z nimi wspólnego języka. Zaskakująca, często okrutna pointa, świetne, psychologicznie niezwykle wnikliwie przedstawione portrety ludzi i ludzików, dynamiczny dialog — to główne zalety prozy Angusa Wilsona. Lektura, którą warto zaliczyć.

Angus Wilson „Co jedzą hipopotamy", PIW, Warszawa 1972, stron 277, cena zł 25.—

„ZŁOTE JABŁKA"

W nowej, dużo efektowniejszej, niż poprzednia szacie graficznej popularnej serii „Nike", ukazał się zbiór opowiadań nie znanej dotąd polskiemu czytelnikowi, Eudory Welty. Ta współczesna, amerykańska pisarka urodziła się na Południu USA i po studiach oraz krótkiej praktyce w zawodzie dziennikarskim zaczęła pisać. Debiutowała w wieku 26 lat, potem jej opowiadania zaczęły regularnie ukazywać się w amerykańskiej prasie literackiej. Szybko zdobyła sobie popularność wśród czytelników i krytyki literackiej. Wydała do tej pory kilka tomików opowiadań, wśród nich także „Złote jabłka" i trzy powieści, z których ostatnia, wydana w roku 1970 dostała się na listę bestsellerów. Oficjalne uznanie dla twórczości Eudory Welty — to dwukrotnie przyznana doroczna nagroda imienia O'Henry'ego, za najlepsze opowiadanie roku oraz nagroda Amerykańskiej Akademii Literatury.

Eudora Welty całą swoją twórczość poświęca ludności zamieszkującej małe, południowe miasta. Np. bohaterowie „Złotych jabłek" pochodzą z wymyślonego przez autorkę miasta Morgana i powiatu MacLain w stanie Missisipi i występują we wszystkich opowiadaniach, zawartych w tomie. W ten sposób czytelnik ze szczegółami poznaje życie tego spokojnego miasteczka, w którym tylko pozornie nic się nie dzieje. Pisarka z iście kobiecą drobiazgowością opisuje codzienne życie swoich bohaterów, przeżywających swoje radości i smutki, a także dramaty, o których milczą. Jest to znakomicie napisana książka o zwyczajnych ludziach, wyróżniających się co najwyżej nieszkodliwymi dziwactwami.

Dobry przekład Miry Michałowskiej, również zasługuje na uwagę.

B. M.

Eudora Welty, „Złote jabłka", Czytelnik, W-wa 1972, str. 493, cena zł 27.—

Panie, panowie — przepraszam. Miał to być poważny głos krytyczny na temat naszej literatury kryminalno-sensacyjnej. Wszyscy teraz bowiem wszędzie piszą poważne krytyki o polskiej powieści współczesnej, z których wynika niezbicie, że posiadamy polską powieść współczesną, tworzoną przez starszolatków, polską powieść współczesną, tworzoną przez średniolatków oraz polską powieść współczesną, tworzoną przez młodolatków. Niestety, nie powstała do tej pory polska powieść współczesna, której autorami byliby nieletni i fakt ten z pewnością odbija się ujemnie na całokształcie artystycznym, ideowym i formalnym naszej literatury w ogóle. W tych rozważaniach istnieje ponadto luka: nie wiadomo z jakich przyczyn omijają one wstydliwie rodzimą powieść kryminalną. Poza KTT, który dwa lata temu ośmielił się o niej napisać, i dawnym felietonem J. Iwaszkiewicza w „Życiu Warszawy" — nic, nigdzie, zmowa milczenia, prawie znieczulica. Ponieważ zaś dywagacje na temat: dlaczego tak się dzieje? — wymagałyby oddzielnej krytyki — ograniczę się więc do meritum sprawy.

DASZ MI NIE TYLKO TO

I otóż, sporządziwszy indeks autorów polskiej powieści kryminalnej, przez kilka tygodni pożyczałam od znajomych literatów zaczytane na śmierć, wypieszczone dziesiątkami niecierpliwych oczu najrozmaitsze: z serii „z kluczykiem", „jamnikiem", „labiryntem", i zupełnie nie z serii: a następnie przejęta emocjonalnie (wrażenia intelektualne dołączyły się później) — z dreszczami zgrozy (nie jakimiś infantylnymi „dreszczykami", podkreślam: dreszczami) — czytałam: chłonęłam. Przyznaję obiektywnie: nie da rady bez dreszczy, bez wypieków; inaczej nie można odczytywać np. dziennika panny Justyny, która:

„...spojrzała na niego spod rzęs. Miała przed sobą drogą jego twarz clowna, tamtą, z piaszczystego wybrzeża, ujrzaną po raz pierwszy na tle rozkołysanego falami morza. Patrzyły na nią te same oczy o badawczym i mądrym spojrzeniu. Utonęła w nich wzrokiem i coś musiała w nich wyczytać, bo nagle znalazła się w jego objęciach".

Zbrodnia została ukarana, dobro i sprawiedliwość zwyciężyły, panna Justyna, która miała być zamordowana, nie została; nie udało się dzięki temu, co najpierw miał twarz clowna na tle rozkołysanego falami morza, a potem ona w niej utonęła (oczywiście: w tej twarzy, nie mylić z rozkołysanym falami morzem) i znalazła się w jego, tj. samego majora, objęciach. **(K. Korkozowicz: BĘDĘ ZAMORDOWANA, Czyt. 1970, nakład 80 tys.).**

Dreszcze dalej paliły, odłożyłam powieść pana Korkozowicza, pogrążyłam się w następnej:

„Chodź tutaj — zawołała Bożena, kiedy stał jeszcze w tamtym pokoju i zapamiętywał rozkład, rozstawienie mebli, położenie drzwi i okna. Leżała na tapczanie sennie uśmiechnięta, przyzywająca, pełna oczekiwania. Kiedy podszedł, wolnymi ruchami zrzuciła z siebie szlafrok. — Dasz mi nie tylko to — pomyślał, obejmując jej nagie plecy".

Tym razem obejmował nie major, a genialny wynalazca i zbrodniarz w jednej osobie, który zabijał laserem, z zazdrości zawodowej, swoich naukowych rywali, przy okazji uwodząc jednemu z nich żonę.

Pomyślałam: łajdak, mało mu tego, co dostaje, chce jeszcze więcej i (wyznaję ze skruchą) doznałam niestosownego skojarzenia. Przypomniały mi się mianowicie słowa szlagieru, który śpiewa pan Jerzy Połomski: **„dasz mi to miejsce na dłoni, którego innym nie dałaś"**, ale szybko się wewnętrznie skonsolidowałam, dochodząc do wniosku, że w powieści **Anny Kłodzińskiej: ŚWIETLISTA IGŁA** (Czyt. 1969, nakład 60 tys.) chodzi o coś zupełnie, ale to zupełnie innego. Więc, pełna niesmaku (do siebie), czym prędzej sięgnęłam po książkę następną, a okazała się nią powieść pana Jerzego Edigeya:

MINERWA, PALACE-HOTEL

Jest to najnowsza, ostatnia powieść (Wyd. Śląsk 1972, nakład 50 tys.) tego niezwykle płodnego autora, niedawno przyjętego w poczet Związku Literatów Polskich. Należy obiektywnie przyznać, że ze wszystkich powieści pana Edigeya: **„Minerwa, Palace-Hotel"** jest z całą pewnością pozycją najwybitniejszą. Pod każdym względem: zwartej narracji, zmyślnej fabuły, precyzyjnej logiki, znajomości zagadnień społeczno-obyczajowych, czystości polskiego języka, którym J. Edigey posługuje się po mistrzowsku. I właśnie ta powieść — a nie inna — zasługuje, aby ją uznać za klasyczną pozycję gatunku kryminalno-sensacyjnego.

PRÓBA SPOJRZENIA NA CAŁOŚĆ

Rozumiem, że u pana Edigeya kryminalna — żywa jak krew — tkanka powieści stanowi jedynie pretekst literacki do pokazania całego skomplikowanego kompleksu zagadnień: a. politycznych, b. społecznych, c. moralno-obyczajowych. W niektórych swoich fragmentach sprawia ona nawet wrażenie powieści par excellence rozrachunkowej. J. Edigey wyraźnie rozlicza się na przykład, z fałszywym pojęciem o demokratyzmie stosunków, panujących w naszym aparacie ścigania. Istnieje tam nie tylko służbowa hierarchia, lecz również wysoki stopień antydemokratycznej zależności pomiędzy szefem wydziału, a jego pracownikiem, oficerem w stopniu kapitana, znającym w dodatku dwa języki obce: portugalski oraz angielski. Pułkownik Mogajski, bezpośredni zwierzchnik kapitana Wyganowicza, głównego bohatera powieści, często zapomina o zasadach socjalistycznego stosunku do swojego pracownika i wtedy (być może podświadomie wychodzi z pułkownika niepewne pochodzenie klasowe) zwraca się do niego: **„Niech kapitan teraz uważa..."**, lub: **„Niech kapitan teraz uważnie słucha"**, albo: **„Kapitan chciałby, żeby..."**, co nam nieodparcie kojarzy się ze zdeklasowaną już formą: **„Niech Józia teraz posłucha... niech Józia uważa, Józia chciałaby, żeby..."** Ostatecznie, w finale powieści, pułkownik zmienia swoją postawę, być może przez ten czas wiele zrozumiał. Mamy się tego przynajmniej prawo domyślać. Ale to jest piękne, że autor nie stawia kropki nad „i", pozwala natomiast czytelnikowi snuć swobodne refleksje, zostawia mu miejsce na przemyślenia. I ta zasada obowiązuje w całej powieści.

ASPEKTY POLITYCZNE

Po raz pierwszy spotykam się z powieścią kryminalno-sensacyjną, w której akcję zostają subtelnie wplecione tak silne akcenty polityczne. Jak gdyby wyprzedzające obecne ożywienie polskich stosunków dyplomatycznych. Pan Edigey przenosi akcję swojej powieści do Szwecji. W Svenka Atom zostaje bowiem podpisany — pomiędzy przedstawicielami dyplomatycznymi obu zaprzyjaźnionych ze sobą krajów: PRL oraz Szwecji — w imię pokojowego współistnienia układ, na podstawie którego Szwecja udziela naszemu państwu licencji na budowę katalizatora uranu. Oczywiście, ten układ wywołuje żywe zaniepokojenie w świecie nam wrogim. I dlatego w Pullach odbywa się brzemienna w skutki rozmowa pomiędzy Herr Oberstem a majorem w cywilu, stukającym przepisowo obcasami. Wywiad zachodnioniemiecki postanawia za wszelką cenę wykraść tajemnicę licencji. A ma to stać się podczas pobytu dwóch polskich uczonych w Szwecji, ponieważ:

„...najwyższy czas, aby olbrzym gospodarczy, a karzeł polityczny, jakim jest dziś Bundesrepublik, zajęła w gronie narodów świata należne miejsce".

Cóż, rozumiemy przecież doskonale, że zewnętrzna polityka Brandta nie ma wpływu na wewnętrzne posunięcia zachodnioniemieckiego wywiadu z siedzibą w Pullach. Ale i CIA, która ukrywa się za niewinnym szyldem: „Biuro Dróg Publicznych" w Langley, postanawia posiąść rewelacyjną metodę, również nie przebierając w środkach. Nasz kontrwywiad przewiduje te działania i wysyła ochronę: kapitana Wyganowicza, który w Paryżu spotyka się z brazylijskim jubilerem Diego de Periera, początkowo rozmawiając z nim w języku angielskim, następnie przechodząc na portugalski. Diego de Periera odstępuje swoją kolekcję szmaragdów, paszport oraz twarz i kapitan, już jako brazylijski jubiler, zjeżdża do stolicy Szwecji.

PROBLEMATYKA SPOŁECZNA ORAZ MORALNO-OBYCZAJOWA

Społeczeństwo szwedzkie jest nam obce klasowo. Styl życia porno, karierowicze w systemie policji politycznej, pokojówka, jeżdżąca sportowym Volvo — nie możemy się tym zachwycać, ani aprobować.

„W Szwecji — jak tłumaczy oficerowi stały mieszkaniec Sztokholmu — **władze starają się wiedzieć i widzieć wszystko — ale interweniują jedynie wówczas, kiedy nie sposób tego uniknąć".**

Taki system władzy, również nam obcy, ale przecież nie pozostający bez ujemnego wpływu na szwedzkie społeczeństwo.

Problematyka społeczna jest nierozerwalnie związana z problematyką obyczajowo-moralną. Presja pornografii, bardzo silna, wywiera swój wpływ i na polskich uczonych. Młodszy asystent bez przerwy pije w hotelowym barze i co noc bierze do pokoju coraz to inną dziewczynę (przeważnie agentki obcego wywiadu, ale, niestety, nie tylko). Skupuje również pornograficzne wydawnictwa. Dopiero w finale rozumiemy, dlaczego. Otóż, asystent nie jest wcale siłą naukową podrzędną, lecz samym profesorem, sławnym w kraju i za granicą (w Szwecji, na szczęście, nie rozpoznanym) i poświęca się — w barze oraz z dziewczynami — dla dobra sprawy, a pornograficzne zdjęcia kryją w sobie fotokopie dokumentacji. Niestety, nie mamy moralnego usprawiedliwienia dla jego asystenta, który w Szwecji uważany jest za profesora. Ten bowiem, chociaż już sędziwy wiekiem — nie potrafi się oprzeć zakusom rudej agentki angielskiej. Agentka spędza z nim noc, ale oficer kontrwywiadu zmontował w swoim pokoju peryskop i przez peryskop obserwuje profesora (rzekomego) oraz jego damę. Dzieje się tak dlatego, że:

„...pracownik służby wywiadowczej, poza wieloma różnymi zaletami, musi odznaczać się również czujnym snem, budzić się przytomnym i zdawać sobie sprawę, co spowodowało wyrwanie go z objęć Morfeusza".

Więc:

„...kapitan zerwał się z łóżka doskonale zorientowany, że alarm pochodzi z pokoju profesora".

I:

„Oficer kontrwywiadu szybko rozsunął swój 'peryskop", aby zobaczyć, że: „w pokoju stała jakaś kobieta.Ślicznie opalone ciało, prężne, dobrze rozwinięte piersi i długie nogi".

Toteż nic dziwnego, że leciwy profesor uległ, zwłaszcza, że:

„...rude włosy bujną falą osłaniały szyję i piersi i kapitan, obserwujący tę postać przez

swój aparat, nie mógł zidentyfikować osoby".

Wobec czego:

„Co robić? — szybka jak błyskawica myśl przebiegła przez głowę oficera kontrwywiadu".

Ale już wie, co robić, nakręca numer do pokoju profesora, a wtedy:

„...na dźwięk dzwonka telefonicznego dziewczyna jednym skokiem zbliżyła się do tapczanu".

Natomiast profesor:

„... przewrócił się na drugi bok i nie otwierając oczu, lewą ręką objął kibić kochanki".

Następnie, ponieważ oficer kontrwywiadu dzwonił dzwonkiem telefonicznym i dzwonił, więc:

„Ruda piękność pogroziła niewidzialnemu wrogowi pięścią, a potem, machnąwszy ręką, wróciła na tapczan. Położyła się obok kochanka i delikatnymi pieszczotami usiłowała go obudzić".

Ale kapitan:

„...doszedł do wniosku, że oglądana przez niego scena ma już charakter wybitnie intymny, przerwał więc swoje obserwacje".

Również i oficer kontrwywiadu nie potrafił się oprzeć zmysłowej, pornograficznej atmosferze. Piękna pokojówka, posiadająca sportowe Volvo, zwróciła jego uwagę. Okazało się jednak, że pokojówka hotelowa jest odbywającą staż zawodowy córką kapitalisty.

Kapitan po pierwszej nocy spędzonej z piękną Szwedką, zrozumiał, że jest „na najlepszej drodze" do tego, aby się zakochać. Wnikliwie analizował swoje uczucia, ale niestety:

„...jakiś większy gwar przerwał rozmyślania oficera — kontrwywiadu"...

„...który musiał dalej wypełniać swoje trudne obowiązki: grać rolę brazylijskiego jubilera w stolicy Szwecji. Ten prosty, niebanalny wątek miłosny, ubarwiający i tak wartką akcję, znalazł w końcu niebanalne zakończenie.

PARĘ SŁÓW KOŃCOWYCH

Powyżej przedstawionych refleksji nie należy uogólniać — są one bowiem pierwszą, niedoskonałą jeszcze próbą systematyzacji niektórych zaledwie zagadnień artystyczno-literackich, zawartych w powieści pana Edigeya pt. **„Minerva, Palace-Hotel"**. Nie czuję się w tej chwili na siłach, lektura zbyt świeża, aby sięgać po pełną analizę utworu. Sądzę jednak, że nawet na pod stawie tej skąpej, nie wyczerpującej garści uwag, zrozumiecie mnie, drodzy państwo, dlaczego nie zdołałam przeprowadzić analizy krytycznej na temat naszej rodzimej literatury kryminalno-sensacyjnej.

EWA OSTROWSKA

MOTORYZACJA

JAK BĘDZIEMY KUPOWAĆ POPULARNEGO „FIATA"?

Już w przyszłym roku zakłady przemysłu motoryzacyjnego w Bielsku-Białej i Tychach rozpoczną montaż popularnego „Fiata 126p". Przewiduje się, że w przyszłym roku zmontuje się tysiąc takich samochodów. W 1974 roku z hal montażowych wyjdzie 10 tys. „Fiatów 126p". Pełną moc produkcyjną fabryki samochodów małolitrażowych osiągną w 1978 roku i produkować będą 150 tys. samochodów rocznie. **„Fiat 126p" kosztować będzie 69 tys. zł.**

Ustalono już zasady przedpłat na ten samochód. Od 5 lutego 1973 roku wytypowane punkty PKO przyjmować będą przedpłaty według dwu zasad.

ZASADA PIERWSZA — przedpłata ratalna. Każdy planujący sobie kupno popularnego samochodu „Fiat 126p" wpłaca na specjalną książeczkę PKO 5 tys. zł. Następnie całość należności spłaca ratami, których wysokość uzależniona jest od daty otrzymania samochodu.

Kto pragnie otrzymać samochód w 1977 roku płaci miesięcznie **1300 zł.** Ci, którzy planują posiadanie samochodu w następnym roku — płacą miesięcznie **990 zł.** Płacący otrzymanie samochodu w 1978 roku — płacą miesięcznie **810 zł,** a dla amatorów samochodu dopiero w 1980 roku wysokość raty miesięcznej ustalono na **680 zł.**

ZASADA DRUGA — przedpłata gotówkowa. Przedpłaty te będą premiowane, a suma wpłacona na książeczkę PKO ulegnie odpowiedniemu oprocentowaniu. I tak, ci, którzy chcą mieć samochód w 1977 roku wpłacają już obecnie — tzn. po 5 lutym 1973 roku — kwotę **63 740 zł.** Amatorzy samochodu „Fiat 126p", którzy chcą go otrzymać w późniejszych latach płacą niższe kwoty. Np. ci, którzy planują posiadanie „Fiata 126p" dopiero w 1980 roku, wpłacają kwotę **56 100 zł.**

ZARÓWNO W JEDNYM JAK I W DRUGIM WYPADKU O KOLEJNOŚCI OTRZYMANIA SAMOCHODU DECYDUJE KOLEJNOŚĆ WPISANIA DO REJESTRU WPŁACAJĄCYCH. Z tym tylko, że płacący gotówką będą mogli w latach 1974—1976 wylosować **25 tys. możliwości wcześniejszego prawa do nabycia samochodu.** Na ten cel przemysł motoryzacyjny przeznacza 25 tys. wcześniej zmontowanych i wyprodukowanych „Fiatów 125p". Nie należy jednak tego losowania mylić z losowaniem premii samochodowych PKO, gdyż losujący otrzymuje nie samochód, a tylko **prawo do wcześniejszego kupna samochodu, do kupna poza swoją kolejnością.** Poza tym losowanie owych 25 tys. samochodów, przeznaczonych do wcześniejszej sprzedaży odbywać się będzie przez 3 lata, a więc rocznie rozlosuje się tylko część samochodów z tych 25 tysięcy.

A JAK TERAZ KUPUJE SIĘ SAMOCHÓD?

Utarł się błędny pogląd, że najtrudniej jest kupić samochód w „Motozbycie". Jest to bardzo błędny pogląd. Sprawdziłem to osobiście i ręczę słowem honoru, że w „Motozbycie" są samochody na zbyciu. Oczywiście transakcja kupna-sprzedaży jest w tym przedsiębiorstwie nieco inna, rzekłbym nawet odmienna od zwyczajowego sposobu nabywania dóbr materialnych. Boć samochód to jednak nie skarpetka i jego nabycie stało się czynnością obrzędową. Niestety, współczesne obrzędy stanowią raczej udrękę dla klienta, wytrawione zostały bowiem z tajemnego wdzięku magii, przynoszącej ulgę duszy strapionego konsumenta. Nowoczesna celebracja towarzysząca dystrybucji hołduje zasadzie, że samochodu się nie kupuje — kupno samochodu się załatwia.

Kiedy wszedłem do salonu „Motozbytu" przy pl. Niepodległości, sympatyczna pani na moje pytanie, czym dziś dysponuje, oczywiście w zakresie motoryzacji, dziwnie się jakoś uśmiechnęła. Jednakże przyjrzawszy mi się dokładniej i cokolwiek dłużej, odrzekła w sposób wyszukany, że owszem, może mi zaoferować sprzedaż warszawy za 120 tys. złotych lub moskwicza za 140 tys. zł. Za gotówkę lub na raty. Moskwicza, to sprzeda nawet za 137 tysięcy, ponieważ jest bez radioaparatu. A może życzę sobie fiata za 175 tysięcy? Tylko za gotówkę. Następnie wręczyła mi blankiet, który powinienem wypełnić i zanieść do banku z załączkami w postaci banknotów NBP. Po uiszczeniu na konto „Motozbytu" odpowiedniej kwoty, mam ponownie zgłosić się do niej, do jej salonu. I teraz czekać, czekać cierpliwie na zawiadomienie, kiedy mam się zgłosić po odbiór pojazdu. Czekać mogę tydzień albo dwa. Nie robi mi to chyba w końcu większej różnicy, ponieważ tyle lat czekałem. W „Motozbycie" samochodu od ręki się nie kupuje, od ręki kupuje się samochód na giełdzie. „Motozbyt" to instytucja poważna i godna, rzetelna i dokładna: instytucja solidna. Człowiek, który by zechciał wejść do wytwornych salonów tego przedsiębiorstwa pieszo, a wyjechać stamtąd własnym samochodem, jest z punktu ceremoniału handlowego tej placówki, postacią co najmniej komiczną, a nawet podejrzaną i to pod wieloma względami, a pod względem sprawnego funkcjonowania swoich szarych komórek w szczególności.

W wydłużaniu procesu nabywania samochodu widzę pewną mądrość kupiecką. Kupowanie samochodu jest czynnością tak przyjemną, że słusznie czyni „Motozbyt" rozkładając tę frajdę na czas dłuższy i nieokreślony. Wynikałoby z tego, że najprzyjemniej jest kupować samochód na raty.

EJ, DROGA, DRÓŻKA...

Przeciętny obywatel, który na razie marzy tylko o własnym fiacie, a z samochodowych akcesoriów ma jedynie breloczek do kluczyków, z problemami motoryzacji, z jakością dróg i ulic zapoznaje się w taksówce, w autobusie, w tramwaju. I choć przeciętny obywatel samochodu jeszcze nie ma, już teraz może ocenić warunki jazdy po łódzkich ulicach: nagłe wstrząsy w autobusach, które przejeżdżają przez tory lub nierówną jezdnię, zamknięta szlabanem ulica, bo ciuchcia z „Obrońców Pokoju" przy akompaniamencie kolejarskich gwizdków jeździ sobie w te i nazad, ciasne skrzyżowanie, na którym nagle robi się korek.

Minęły już co prawda czasy, kiedy przejazd przez Łódź był dla kierowców karą boską, ale do doskonałości jeszcze daleko. Urbaniści zapytani o wizję łódzkiej komunikacji za lat kilka, mają gotową odpowiedź: że z racji centralnego położenia Łodzi tu właśnie będą się zbiegać autostrady z północy na południe i ze wschodu na zachód, że planowany układ autostrad będzie miał w mieście charakter szybkich arterii ekspresowych, że powstaną bezkolizyjne, podziemne lub nadziemne przejścia dla pieszych, poszerzy się niektóre ulice, ułatwiając szybki przejazd przez Łódź, że zbuduje się jezdnie z wieloma pasmami ruchu. No, a jeszcze nowe parkingi, wielopoziomowe garaże, wystarczająca ilość stacji obsługi, komfort, wygoda i... STOP!

Przeciętny obywatel siedzi w taksówce, która z trudem przeciska się obok tramwaju na ul. Kilińskiego. Cóż go obchodzi wizja, kiedy on chce szybko dojechać do celu, bo mu się śpieszy. Ale jezdnia przed nim zatłoczona, tramwaju wyminąć nie sposób, a wieczorem i w nocy w dodatku ciemno. A czy to tylko na jednej Kilińskiego jest ciemno?

Dlatego dobrze się stało, że wprowadzono ostatnio w Łodzi zwyczaj jeżdżenia na światłach mijania. I chociaż kierowcy, jak jeden mąż, narzekają na te innowacje, bo co moment są oślepiani, bolą ich oczy i chwilami nie widzą, co się dzieje za nadjeżdżającymi z przeciwka samochodami, to przecież na łódzkich ulicach nareszcie zrobiło się jaśniej.

Mamy jednak Łódź, jaką mamy i bez stopniowej przebudowy tego, co nazywamy układem komunikacyjnym, nie wiele zrobimy. Póki wizja urbanistów nie stanie się rzeczywistością, nie pomoże przestawianie znaków drogowych. Nowe przepisy i zakazy skrętu w lewo czy prawo pewnie wpłyną na zmniejszenie ilości wypadków, ale przez to ulice Łodzi nie staną się ani szersze, ani wygodniejsze dla kierowców.

Przeciętny obywatel zaczyna myśleć o motoryzacji kupując najpierw breloczek do kluczyków, potem samochodowe rękawiczki z dziurami, psa z kiwającą się głową i odkładając pieniądze w PKO lub nieszkodliwie ryzykując w grach liczbowych. I nic w tym złego, bo jest to rzecz zupełnie naturalna. Dla rozwoju motoryzacji w Polsce droga stoi otworem. Za kilka lat — jak wszystko dobrze pójdzie — będziemy mieli prawdziwe korki na ulicach. Do tego czasu trzeba będzie zmienić nie tylko sposób myślenia o motoryzacji — ilość samochodów, to jeszcze nie wszystko. Trzeba mieć również sprawnie działający system stacji obsługowych, garaże właściwie zlokalizowane dla każdej dzielnicy mieszkaniowej, parkingi wszędzie, gdzie trzeba, no i wreszcie d r o g i.

POLOWANIE NA PIESZYCH

Słyszałem, że młodzi ludzie na Zachodzie porażeni motoryzacją, znaleźli sobie ostatnio oryginalną zabawę. Polega ona na tym, żeby w najruchliwszym punkcie jezdni przemknąć skuterem lub samochodem z jednej strony ulicy na drugą, nie zważając, oczywiście, na żadne przepisy ruchu kołowego. Mocna rzecz. Zabawa dostarcza na pewno dużo wrażeń. Mniej więcej tyle, ile zapewne u nas przejście przez „zebrę". Według kodeksu drogowego, kierowca ma obowiązek zatrzymać pojazd przed „zebrą" tylko wtedy, kiedy przechodzi większa ilość osób. Oznacza to, że na pojedyncze jednostki nie musi zwracać uwagi. One same niech się pilnują. Fakt, że do tej pory tak mało ludzi w naszym kraju zginęło na „zebrach", świadczy tylko dobrze o przechodniach. Mają szybszy refleks niż kierowcy.

Niestety, konflikt między zmotoryzowanymi a pieszymi występuje nie tylko na „zebrach", lecz na całej długości ulic i szos, sięgając niejednokrotnie aż do samych garaży. Z niepokojem obserwuję ten geometryczny postęp wzajemnej niechęci. Piesi coraz bardziej przeszkadzają zmotoryzowanym. Widać to po zirytowanych minach ludzi w autach. Zmotoryzowani nawet zwykły brak części zamiennych zdolni są tłumaczyć jakimś totalnym spiskiem pieszych. Piesi z kolei zdolni są obciążyć winą zmotoryzowanych nawet za brak benzyny do zapalniczek. Jest to sytuacja typowa dla okresu przejściowego, kiedy istnieje równowaga między ilością pieszych i zmotoryzowanych. Gdy zmotoryzowani zdominują pieszych, problem automatycznie zniknie.

I pomyśleć, jeszcze kilka lat temu posiadanie auta było czymś podejrzanym, stawiało właściciela w sytuacji dwuznacznej moralnie, ideowo, a przede wszystkim finansowo. Dziś, wręcz odwrotnie, brak auta świadczy przeciwko człowiekowi. Dziś już wiemy, że to ani obniżona moralność nie jest przyczyną posiadania auta, ani posiadanie auta nie obniża wartości społecznej obywatela. Źródłem posiadania jest przeważnie pracowitość i oszczędność. Teza ta, choć w zasadzie słuszna — jako że bywają wyjątki — prowadzi do wniosku, że ludzie nie posiadający auta, są mniej pracowici, mniej oszczędni, a więc i mniej wartościowi. I oto z jednej skrajności wpadliśmy w drugą.

Przychodzi czas, kiedy na luksus nieposiadania samochodu mogą sobie pozwolić tylko ludzie bardzo biedni, albo bardzo zamożni, czyli żebracy lub milionerzy. Ponieważ w naszych warunkach ani jednych, ani drugich przeważnie nie ma, więc automatycznie, wszyscy skazani jesteśmy na posiadanie.

Większość z nas, jako przedstawiciele pieszych, nie mamy do zmotoryzowanych większych pretensji. Tym bardziej, że często korzystamy z ich usług. Lękamy się tylko tych, którzy przypisują większe znaczenie temu, że prowadzą auto, niż samemu prowadzeniu auta. Właśnie niedawno jeden z nich zaprosił jednego z nas na przejażdżkę po mieście. Zgodził się, gdyż nie lubił sprawiać ludziom zawodu. Facet zaś chciał się pochwalić nowym nabytkiem i zaimponować sprawnością prowadzenia. Pojechał. Co chwila ktoś im spod kół umykał. Wyglądało to na polowanie na pieszych. Przyjemności zaznałem nie wiele, emocji dużo.

MOTORYZACJA

Kierowca w oczach się zmienia. Z jego oblicza dawno gdzieś zniknęło początkowe szczęście i duma, wydał mi się człowiekiem smutnym, posępnym, rozczarowanym i niespokojnym. Zmienia biegi i ciągle się żali, narzeka, biadoli, gderał, psioczył, sarkał, szemrał i mamrotał. Można tego słuchać życzliwie, obojętnie kiwając głową. Choć z drugiej strony rzeczywiście powodów do radości taki człowiek ma niewiele. Ciągle narażony jest na śmierć, kalectwo lub mandat, ciągle z damoklesowym mieczem rat, który groźnie wisi nad jego głową, siłą rzeczy wymaga naszego wyrozumienia, współczucia i tolerancji. Jest on przecież w życiu szczęściwy tylko dwukrotnie. W momencie kupna i w chwili sprzedaży samochodu.

PO CO ISTNIEJE TOS?

Latem tego roku oddano do użytku wielki i ładny (zewnętrznie) obiekt TOS przy ul. Strykowskiej 1/5 **Cieszyć się z tego powodu, czy smucić?** — pytamy głównego technologa tej placówki.

— Właściwie oficjalnego otwarcia, takiego z przecięciem wstęgi, bankietem, przemówieniami itp. to nie było. Ale już od kilku miesięcy pracujemy. Nasza specjalność to Fiaty 125-p, w przyszłości także Fiaty 126-p.

— W pierwszym rzędzie staramy się odizolować klienta od pracowników, lecz nie zawsze nam się to udaje. Problem jest natury zwyczajowej i zakazami administracyjnymi go nie zlikwiduje. Właściciele samochodów często sami wtykają „koperty", przyzwyczajają ludzi do brania, a jak się taki przyzwyczai, to oczywiście później sam wymusza.

— Jaka jest dzienna przepustowość tego największego TOS w Łodzi?

— Jesteśmy w stanie naprawić dziennie ponad 100 samochodów, i tyleż umyć, jako że mamy automatyczną myjnię.

— To oczywiście teoria — a praktyka?

— Praktyka jest taka, że nie mamy części zamiennych i oprzyrządowania, więc większość klientów odsyłamy z kwitkiem, nawet tych z gwarancją, co jest rzeczą szczególnie przykrą dla obu stron.

— Kto jest winowajcą?

— Wiadomo — FSO. Oni się tam zajmują produkcją całych samochodów, więc nie mają czasu ani chęci rozmieniać się na drobne części... zamienne.

— Jakie zalety i wady ma ta nowa placówka TOS, w której pan jest głównym technologiem?

— Jedną z zalet jest fakt, że specjalizuje się wyłącznie w obsłudze Fiatów. Szkoda tylko, że sam obiekt jest niefunkcjonalny, ale co robić, jego projekt powstał przed czternastu laty. Zapomniano też o lakierni, która ma dopiero powstać za dwa lata. Poza tym wydaje mi się, że inwestycja jest w ogóle za duża, dobra raczej na zakład naprawczy, ale nie do świadczenia usług.

— Dlaczego TOS mają taką kiepską reputację?

— Złożyło się na to wiele przyczyn, między innymi także brak dobrych fachowców. W TOS, dla przykładu, lakiernik zarabia do 4.000 złotych miesięcznie, u prywatnego właściciela otrzyma 7.000 złotych. Ponadto istnieje generalna dysproporcja między szybkim rozwojem przemysłu motoryzacyjnego a rozwojem zaplecza. Nic dziwnego, przemysłowi motoryzacyjnemu patronują pierwsze osoby w państwie, a usługom motoryzacyjnym co najwyżej skromni dyrektorzy TOS-ów.

— „Kurier Polski" przeprowadził ankietę na temat napiwków. Oto, co powiedział „Kurierowi" na ten temat monter z TOS-u: „Każdemu przyprowadzającemu do nas samochód zależy na tym, aby właśnie jego przypadek potraktować szczególnie: to znaczy porządnie naprawić samochód. Więc daje. Nieraz trzeba frajera trochę podbajerować, że kupa roboty. Skrupułów nie mam żadnych, ja na przykład jeszcze samochodu nie mam".

Co u was się robi, ażeby zwalczyć plagę napiwków wśród pracowników?

CHOCIAŻ RAZ W ROKU

Jeszcze dwa lata temu zarejestrowanie pojazdu było sprawą kłopotliwą, jak i niepoważną. Przypominało bardziej zabawę w chowanego niż stosunkowo prosty zabieg techniczny. Po prostu rejestrowano pojazdy bez badania technicznego, na „oko", na zasadzie targów i wzajemnych ustępstw między użytkownikiem a inspektorem wydziału komunikacji. Postawienie więc stempelka w dowodzie rejestracyjnym, dopuszczającym samochód do ruchu drogowego, było najczęściej formalnością, aktem dobrej woli lub innych „subiektywnych odczuć" urzędnika.

Jak jest obecnie przekonałem się rejestrując „za drugim podejściem" swój dość wysłużony samochód. I cała rzecz odbyła się bez dyskusji, jako że z aparatami kontrolnymi dyskusja jest mocno utrudniona. Kierownik TOS przy ul. Gdańskiej **JÓZEF SKIPOR** pociesza mnie, że tylko ok 10 proc. samochodów nie wymaga żadnej ingerencji mechanika. Ale i z tym obecnie nie ma wielkiego kłopotu. Usunięcia usterek można dokonać na miejscu, często od ręki, gdy większy ruch można się umówić na określony dzień. Na miejscu również załatwia się wszystkie formalności — opłaty i aktualizacje dowodu rejestracyjnego. I kłopot z głowy na rok, jeśli samochód używany — na dwa, jeśli nowy.

Wprowadzenie badań technicznych było konieczne ze względu na poprawę bezpieczeństwa na drogach. Hamulce, światła, układ kierowniczy — ich pełna sprawność to podstawa bezpieczeństwa. I przy ocenie tych podzespołów nie może być żadnych wątpliwości.

Ile razy nocą człowiek kinie na trasie. Jadący z przeciwka oślepiają nas, my innych. A wystarczy podjechać do TOS. Sprawdzenie ustawienia świateł nic nie kosztuje. Płaci się tylko za ewentualne usunięcie usterek.

Kiedy MO wprowadziła Akcję „Światło", wielu kierowców z tej możliwości skorzystało. I słusznie, bo skomplikowanego aparatu do ustawienia świateł nie zastąpi żadna regulacja „na wyczucie".

Również dokładnie sprawdzane są hamulce na stanowisku z układem rolkowym. Równomierność hamowania i siłę nacisku — wszystko można odczytać na tablicy pomiarów. Tak jak luz w układzie kierowniczym na specjalnym kątomierzu. Nie ma więc mowy o żadnych dowolnych ocenach.

Rejestrujący pojazdy, a są to z reguły starzy i doświadczeni pracownicy motoryzacji, szczególnie są wyczuleni na stare pojazdy. Kolebią się często po naszych drogach na zupełnie irracjonalnych zasadach. Mówiono nam, że podstawiano do rejestracji pojazdy nawet ze spawanymi drążkami skrętu. To niemal potencjalni samobójcy. Ale winić tu należy również podrzędne warsztaty, które takie „usługi naprawcze" wykonują. Stąd więc takie samochody ogląda się na kanale na wszystkie strony.

Zwraca się również uwagę na bezpieczeństwo samych kierowców. Spaliny przedostają się do kabiny kierowcy zamieniają ją w komorę gazową. Były już takie wypadki, nawet śmiertelne.

Kierownik Skipor rejestruje ze swoim pomocnikiem wszystkie samochody z terenu powiatu łódzkiego. Po dwóch latach działania nowego systemu stwierdza znaczną poprawę stanu technicznego i większą staranność w przygotowaniu samochodów do badań technicznych. Kierowcy po prostu wiedzą co ich tu czeka. Oby jeszcze świadomość bezpieczeństwa własnego i drugich, powodowała częstsze, okresowe odwiedziny w TOS. Takie sprawdziany winny być systematycznie dokonywane — NIE TYLKO RAZ W ROKU.

I TY ZOSTANIESZ PIRATEM

Powolny, ale systematyczny rozwój motoryzacji w naszym kraju, a zwłaszcza zapowiedź produkcji małolitrażowego samochodu dla wszystkich, spowodowały niemal lawinowe zapotrzebowanie na prawa jazdy, a więc na dokument uprawniający do kierowania pojazdem na drogach publicznych. Zapowiedź zmian w metodach szkolenia kandydatów na kierowców, zwiększenia godzin obowiązkowych jazd, a tym samym podrożenia kosztów kursu dokonały reszty: lawina ruszyła. Aktualnie w całej Łodzi nigdzie nie przyjmuje się zapisów na szkolenie i stan ten, jak się przewiduje, potrwa parę miesięcy. Wszystkie instytucje zajmujące się szkoleniem na kierowców są dosłownie oblegane przez chętnych, a instytucji tych jest wcale nie mało: Automobilklub Łódzki, Polski Związek Motorowy, Liga Obrony Kraju, nie licząc kursów wewnętrznych, przyzakładowych organizowanych pod egidą i przy czynnej współpracy którejś z tych wymienionych organizacji. Stosunkowo mniej osób zdaje egzamin eksternistyczny, choć przepisy dopuszczają i taką możliwość. Teoretycznie też kandydat na kierowcę może być szkolony przez kogoś z najbliższych, kto posiada własny samochód.

Trudno coś powiedzieć o nowych zasadach szkolenia, które obowiązywać będą po 1 stycznia 1973 i dopiero praktyka społeczna wykaże, czy będą doskonalsze od dotychczasowych. Najogólniej jednak mówiąc przewiduje się ograniczenie wykładów na rzecz obowiązkowych jazd, które rozszerzone zostały do 18 godzin.

Dotychczasowy system szkolenia wywoływał wiele krytyki. Jazdy obowiązkowe, a więc to, co z punktu widzenia umiejętności kierowcy chyba najważniejsze, stanowiły 12 godzin szkolenia, prawie tyle samo, bo 10 godzin przewidziano na zajęcia teoretyczne obejmujące przepisy ruchu drogowego oraz podstawowe wiadomości z budowy samochodu dotyczące tych elementów i mechanizmów, które mają bezpośredni związek z bezpieczeństwem ruchu na drogach (układ hamulcowy, układ kierowniczy, rodzaje świateł, ogumienie). Jest to alfabet, ale od czegoś trzeba przecież zacząć.

Nie ulega wątpliwości, że po dwunastu godzinach jazd umiejętności prowadzenia samochodu są prawie żadne, ale automatycznych odruchów nabiera się dopiero po przejechaniu tysięcy kilometrów, toteż trzeba było zdecydować się na pewną umowność i kompromis wręczając prawa jazdy ludziom nie w pełni do tego przygotowanym. I choć nie brak przykładów, że świeżo upieczeni kierowcy powodowali wypadki drogowe, niekiedy bardzo tragiczne w skutkach, to przecież reguła jest inna i większość kolizji dotyczy raczej kierowców z pewnym już doświadczeniem szosowym, którzy zbyt mocno uwierzyli w swoje umiejętności. Nowicjuszy, na szczęście, cechuje ostrożność, a to zawsze ma dobry wpływ na bezpieczeństwo jazdy.

Warto wreszcie dodać, że od pewnego czasu daje się zaobserwować interesujące ze społecznego punktu widzenia zjawisko. Przed laty większość wniosków o prawo jazdy dotyczyła uprawnień na prowadzenie motocykla, dzisiaj prymat mają samochody, co jest dowodem na to, że jako społeczeństwo większe dziś mamy aspiracje i większe możliwości ich zaspokojenia. Wierzę, że dotyczą one prawie wszystkich. Wierzę, że i ty staniesz na komisji lekarskiej, pomyślnie zdasz wymagany egzamin i zostaniesz kierowcą, nie piratem drogowym.

ULICA „KUPIŁA" FIATA

Ulica to nie tylko tzw. ciąg komunikacyjny. To także — z pewnością najczulszy — barometr nastrojów. Powszechna aprobata czy dezaprobata, lekceważenie czy sympatia społeczna, natychmiast dadzą się bez trudu odczytać na ulicy: w tramwaju, sklepie, przy kiosku z gazetami, na przystanku....

Tym razem także nie ma wątpliwości, że ulica „kupiła" Fiata 126. A to oznacza coś więcej, niż akceptację naprawdę ładnego wozu, oznacza to niedalekie zmiany w strukturze spożycia, oznacza to aprobatę decyzji partii i rządu... Ulica wiele stworzyła dowcipnych kalamburów, ale ten ostatni jest wymownym przykładem sympatii i aprobaty dla programu rozwoju polskiej motoryzacji... „Volkswagierek" — mówi polska ulica na Fiata 126 i jest to dowód autentycznej popularności przywódcy, dzięki któremu ów program motoryzacyjny mógł w Polsce tak błyskawicznie zaowocować eleganckim i tanim samochodem. Mało którego męża stanu spotyka tak spontaniczna sympatia, wyrażająca się w owej poufałości. Na Kennedy'ego Amerykanie mówili Johnny, co po polsku brzmi mniej więcej tak, jak „Jasiu"....

Ktoś, być może, powie, że 70 tysięcy to nie jest tanio... Owszem, to kawał grosza, ale też nie dają nam za te pieniądze mikrusa z motocyklowym silnikiem, lecz wóz na poziomie europejskim, sprawny, wygodny, nowoczesny... Dostajemy go właściwie równocześnie z Włochami, którzy też zresztą muszą czekać w kolejce, bo zapotrzebowanie olbrzymie.

Ten moment jest dla opinii publicznej niezwykle istotny. Oto otrzymujemy wóz równocześnie z motoryzacyjnym mocarstwem, nie — jak dawniej bywało — model... wycofany z produkcji. Ta licencja nie ustawia nas automatycznie na pozycji młodszego brata, który dostaje ubranie po starszym. Pomijając całą stronę techniczną, na której się nie znam — taka pozycja licencyjna jest ogromnie ważna z punktu widzenia psychiki społecznej. Oto agronom Kowalski z Mszany Dolnej może kupić nowy model równocześnie z Giną Lollobrigidą...

Może ktoś to nazwać snobizmem, ale nikt chyba nie wątpi, jakie to ma znaczenie dla samopoczucia społeczeństwa, nawet dla tych, co samochodu nie kupią. Po prostu nie jesteśmy w tym wypadku w sytuacji młodszego brata. To bardzo ważne.

Ulica polubiła Fiata, nazwała go poufale i żartobliwie — stał się tematem rozmów i marzeń. Te marzenia o własnym samochodzie, pielęgnowane przez setki tysięcy Polaków, stały się jakieś bliskie i określone. Ludzie przymierzają się do tych marzeń i jest to przymiarka realna.

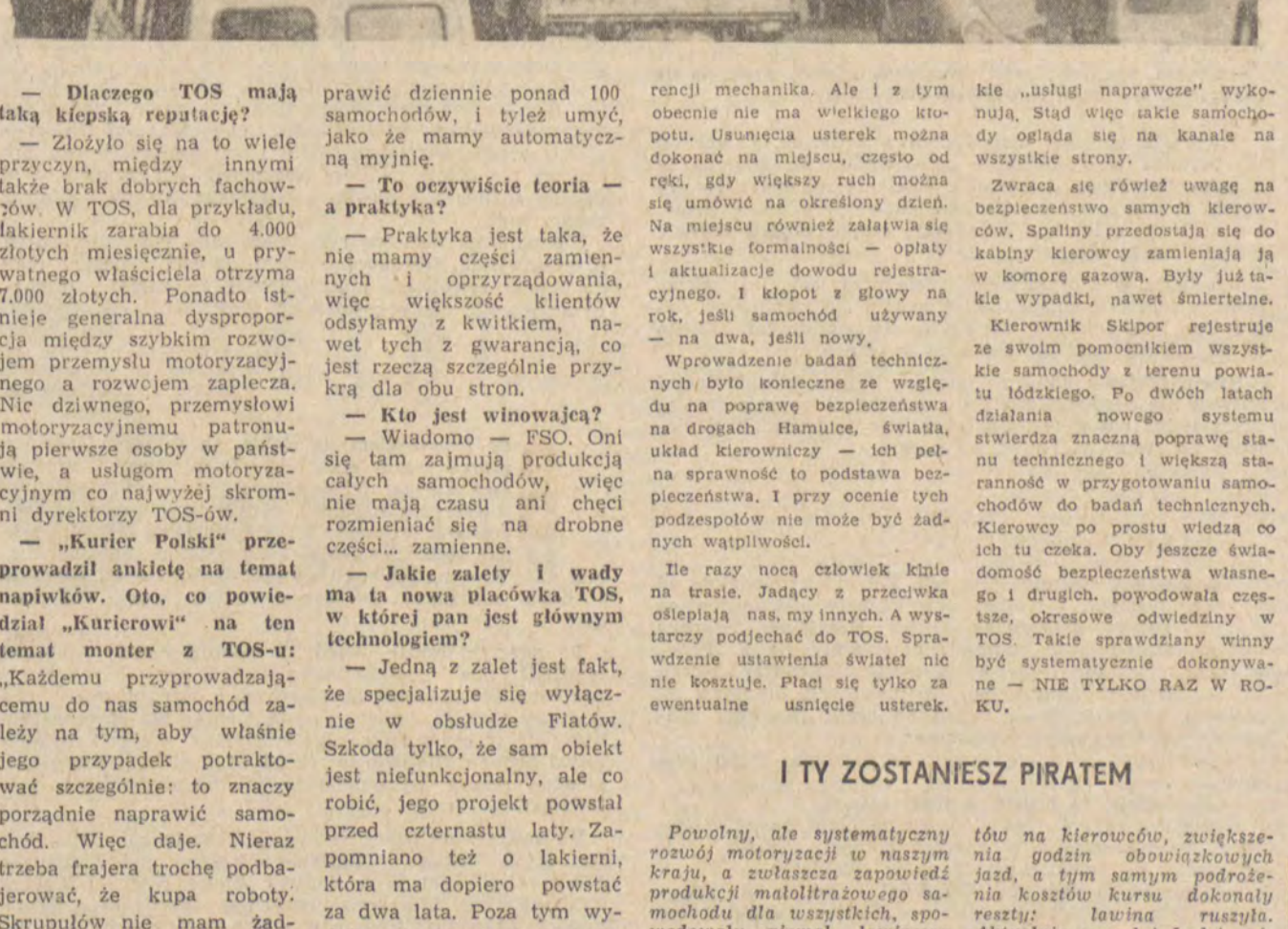

ANDRZEJ MAKOWIECKI

wyszedł z redakcji na giełdę samochodową i dotychczas nie powrócił. Reportaż z giełdy zamieścimy w jednym z następnych numerów.

STANISŁAW WORKIEWICZ

OKRUCHY OPŁATKA

Był wieczór. Pierwsze gwiazdy upstrzyły niebo. Odgłos kroków nóg obutych w drewniaki odbijał się echem po ciasnej uliczce Neustadt. Codziennie dwa razy przemierzaliśmy tę drogę zmęczeni codzienną harówką i głodem.

Dzisiaj, w wieczór wigilijny, za tymi murami i oknami zakrytymi podwójnym „Verdunklung", zasiadali do stołu nasi ciemiężcy, składając sobie życzenia zwycięstw i wspaniałych podbojów.

Byłem głodny. Miesięczne kartki żywnościowe starczały zaledwie na 5 dni. Właściwie to żyliśmy na cienkiej zupce z brukwi, którą serwowano nam raz dziennie w „Volksküche", na Goethe-Allee. Czasami tylko udało się coś ukraść podczas znoszenia węgla do piwnic, jeśli udało nam się wymknąć spod kontroli gospodyni domu.

— Głupio, że Święta Bożego Narodzenia wypadają pod koniec miesiąca — rzekłem, czując, że kiszki mi marsza grają. — Gdyby tak na początku miesiąca, można by poświętować. Byłoby te 10 dkg margaryny i ten kawałek koksu (tak nazywaliśmy chleb z trocinami, którym nas karmiono).

— Staszku, ty masz przecież ten kawałek opłatka, który przysłali ci rodzice z Polski, nieprawda? — przypomniałem sobie.

— A jakże, mam, zgotujemy w „lagrze" na Angerstrasse lurę z „Getreidekaffe" i podzielimy się nim. Mam go nawet przy sobie.

Ze spuszczonymi głowami, pełni goryczy, wlekliśmy zmęczone ciała, przemierzając ulicę stukotem drewniaków. Nagle z otwartych drzwi bramy, których zaciemnienie było w widocznej kolizji z przepisami o zaciemnieniu, buchnął na chwilę snop światła. Trwało to zaledwie moment, ale moment ten wystarczył, by koleś mój schylił się po coś na chodnik. Podniósł to coś i ciągnąc mnie za rękę, skierował się do drzwi, aby tam z triumfem wyszeptać:

— Hurra, mamy wigilię! Znalazłem kartkę na mięso!

— 10 dkg mięsa. To dar od Yankesów — wymamrotał Staszek.

W owym czasie, a był to rok 1941, od czasu do czasu alianci zrzucali nad terytorium Rzeszy idealnie podrabiane kartki żywnościowe. Jeśli zrzucili rozsądną ilość, to można było się pożywić, jeśli natomiast zrzucili za dużo, to władze natychmiast unieważniały kartki dotychczasowe, wprowadzając na ich miejsce nowe.

Szczęście mieliśmy w garści, ale jak je zrealizować? Przypomniałem sobie, że w pobliżu znajdowała się jatka końska z restauracją.

— Wiesz, Stach, chodźmy do Blochwitza na konia. Za 100 g dostaniemy 200 g, a więc podwójny zysk.

— A jak nas nakryją?

Polakom nie wolno było przebywać w miejscach publicznych wespół z Niemcami. Mimo to u Blochwitza już byłem. Zaprowadził mnie tam pewien Niemiec, furman. Wziął mnie niejako w opiekę. Dawali tam piwo i „Frikadellen mit Kartoffelsalad". Było to siekane mięso końskie, coś w rodzaju sznycla wiedeńskiego, z tym, że dawano podwójną porcję. Do tego zimne kartofle w jakimś zimnym sosie octowym. Właściwie kompozycja zupełnie niezła. Ocet zabijał słodycz konia. Mięso serwowano jednakże w stanie ciepłym.

Głód nas przemógł. Skierowaliśmy kroki w stronę niedalekiego Blochwitza. Poprawiliśmy włosy, pozaginali klapy drelichowych marynarek z umieszczoną na nich literą „P" na żółtym tle tak, aby ją starannie zakryć i nieśmiało, lisim krokiem wsunęliśmy się do knajpy. Na stereotypowe, obłudne „Heil Hitler" nikt nam nie odpowiedział. Knajpa była prawie pusta w ten wieczór wigilijny. Kilku staruszków grało w kącie w skata i kilku przechodniów ciągnęło piwo z dużych szklanych butów.

Usiedliśmy w najciemniejszym kącie sali. Restauracja i jatka Blochwitza znajdowała się w starym budynku z 16 lub 17 wieku, w budynku, z jakich składało się centrum Universitätstadt Göttingen. U Blochwitza nie widziało się lepszych sfer. Knajpa należała do proletariatu. Nikt inny na konia by tu nie wszedł. Robotnicy w czapkach sączyli powoli swe ulubione „halb und halb mit Schuss" — czyli inaczej piwo jasne z ciemnym i z pianką.

Znając klientelę Blochwitza odważyłem się wejść. Zamówiłem dwie porcje nieśmiertelnych „Frikadellen mit Kartoffelsalad" i dwa piwa. Nic innego zresztą nigdy tam nie miewali. Zamawiając dania i podając do odcięcia „Fleischmarken" obserwowałem w napięciu „Fräulein". — Czy aby nie zauważy pochodzenia kartek, a po naszych łachmanach i akcencie nie pozna narodowości? Ukrywanie litery „P" groziło obozem koncentrcyjnym. Nie, nie zauważyła, albo nie chciała zauważyć. Jedno z dwojga. Płaciliśmy z góry i nie żądaliśmy reszty. Jak na warunki, mentalność i zwyczaje niemieckie, był to gest.

Kiedy na stole pojawiły się dwa kufle piwa i umoczyliśmy w nim spragnione usta, Staszek sięgnął za pazuchę i brudnymi od węgla rękoma wyjął niemiecką „Kennkartę", a z niej w złożonej kopercie opłatek. Przełamaliśmy się drżącymi rękoma pod blatem stołu. Szeptem, aby nikt nie słyszał i nie widział, naszych praktyk niecodziennych, zaczął mi Stach życzyć. Nie pamiętam, czego mi życzył. Myśli moje biegły tam, gdzie zostawiłem beztroską młodość, rodziców, nauczycieli. Ale nade wszystko na tym tle rysowała się nieuchwytnymi konturami postać tej, którą zostawiłem w kraju.

Nagle dłoń Staszka, cofnęła się. Nad nami stał Schupo. Trzymając rękę na pasie, drugą wskazał na drzwi:

— „Raus von hier"!! (Wynocha za drzwi).

Kelnerka zbliżała się właśnie z koniną. Szyderczy napis wywieszki na ścianie: „Für Polen und Hunde Eintritt verboten" przypomniał mi sytuację, w której znajdowaliśmy się. Jak niepyszni wzięliśmy czapki. Mięliśmy je w garściach i wychodząc w ciemny korytarz, odkrywaliśmy nasze „P", zakamuflowane zagiętymi klapami marynarek.

Na ulicy zrozumieliśmy wszystko. Stojący na rogu Ukrainiec z naszego lagru powiadomił o naszym wejściu do restauracji „Nur für Deutsche" — policjanta.

— Widzisz tego hajdamakę? — wskazał Staszek.

— „Ruhe" — warknął „Schupo" — **„Haltet eure Schnautzen, ihr Schweinehunde".** (Cicho, stulić pyski, wy świnie).

Znaliśmy go obaj. Wożąc po mieście węgiel, spotykaliśmy często policjantów. Tego znaliśmy jeszcze skądinąd. Przychodził w dniach dyżurów do baraku, kontrolując o godzinie 21, czy wszyscy Polacy są już w domu. Tym razem skierował się w stronę posterunku policji, którego budynek znajdował się niedaleko centrum. My, Polacy, znaliśmy tę instytucję aż nazbyt dobrze. Tam dawali nam wypłatę specjalnie do tego celu spreparowanymi bykowcami za zbyt powolne wyładowywanie węgla lub po prostu „a' conto". A bić to oni umieli.

— Będzie wypłata na samą wigilię — informowałem szeptem towarzysza niedoli, Staszka, tak, aby nasz Schupo nie słyszał.

Na posterunku pustki. Dyżurny policjant przyjął nas z widocznym ukontentowaniem. Zapytał skąd, za co, gdzie pracujemy i po tych formalnościach, pobrzękując kluczami, wprowadził nas do posterunkowego mamra. Znaliśmy tę instytucję. Aż nazbyt często mieliśmy przyjemność bywania w niej. Więzienie było przeładowane. Pierwsi przywitali nas Rosjanie:

— Słysz druh, zakurit u tiebia niet?".

Wytrzepałem z kieszeni nieco tytoniu i poczęstowałem. Skręciliśmy papierosa. Musieli siedzieć już długo, gdyż łapczywie zaciągali się dymem.

Niedługo po naszym przybyciu zazgrzytał klucz w zamku i w drzwiach ukazała się postać kobiety, dźwigająca dużą walizę, a za nią policjant. Mrucząc coś pod nosem podszedł do zamkniętej celi i otwierając ją, wepchnął do niej zapłakaną kobietę. Po jego wyjściu zajrzałem przez judasza do celi. Klęczała przy pryczy trzymając głowę w ręku i modliła się.

— Czy pani jest Polką? — rzuciłem pytanie, przykładając ucho do judasza.

— Tak, panowie, pomóżcie mi. Co ja biedna poczne?

— A za co panią wsadzili?

— Pracuję w Berlinie i mam narzeczonego w miejscowości Oberniesa. Złapali mnie bez przepustki na dworcu w Göttingen w czasie przesiadki. A nam nie wolno jeździc.

— Dadzą pani trzy miechy obozu i fertig.

— Tak, aby tylko, ale ja pracuję w hotelu i wiozę dużo rzeczy dla narzeczonego na Święta.

— Co pani wiezie?

— Mam wino, wódki, koniaki, likiery, kiełbasy, szynkę i ciasto. Mój narzeczony pracuje w warsztacie i często głoduje.

Domyślałem się, że pracując w hotelu, miała okazję okradać Niemców, którzy z całej Europy zwozili do Rzeszy kradzione dobra.

— Niech pani się tego pozbędzie — rzuciłem.

— Ale jak, panowie, pomóżcie mi, zanim szkopy nie zajrzą do walizki.

— Owszem, pomożemy pani. Niech pani najpierw pozbędzie się papierosów, noc długa, to może coś obmyślimy.

Otworzyła walizkę. Oniemiałem z wrażenia. Zawartość jej przeszła wszelkie moje oczekiwania. Mrugnąłem na Staszka. Otwierała drżącymi z wrażenia rękoma kolorowe paczki Ecksteinów i przepychała papierosy przez wziernik. Obudzili się z letargu Holendrzy, czując zapach chciwie wdychiwanego dymu.

Więzienie, w którym świeciła się przez całą noc zakratowana żarówka, momentalnie zrobiło się ciemne od dymu. Ten i ów zakasłał zaciągając się papierosem, którego od dawna nie miał już zapewne w ustach.

Potem przyszła kolej na koniaki, likiery, wódki. Szyjki butelek nie chciały wejść do wziernika. Z papieru zrobiła nasza Polka coś w rodzaju lejka, którym trunki były zlewane do metalowej miski na zupę.

☆

Zmienił się nastrój w celi. Żołądki wygłodniałe od miesięcy, z trudem przyjmowały niespodziewaną strawę. Zaczęły się śpiewy. Rosyjskie: „Szyroka strana maja radnaja" przeplatały się z „Przybieżeli do Betlejem pasterze". Holendrzy, którzy byli w mniejszości, wyśpiewywali nieznane mi melodie, przeklinając od czasu do czasu Niemców charakterystycznym „God verdamme".

Składaliśmy sobie niedokończone życzenia. Stach pomieniał.

— Co będzie, to będzie, a teraz pijmy!

Kiedy nad ranem wszedł do celi policjant, zastał wszystkich nieprzytomnych w oparach alkoholu. Odór jego zmieszany z dymem wprawił go w osłupienie.

— „Das ist ja nich zum Glauben" — mamrotał szkop, kopiąc leżące na podłodze ciała. **— „Gestern Abend waren sie doch ganz nüchtern".** (Nie do wiary. Wczoraj wieczorem byli oni całkiem trzeźwi).

Wkrótce dowiedzieliśmy się, skąd ta ranna wizyta. Otóż do firmy, w której pracowaliśmy, przyszły wagony z węglem. To nic, że był pierwszy dzień Świąt. Należało je wyładować. Szef i właściciel przedsiębiorstwa, Wolters, posłał po Polaków. Stwierdziwszy, że dwóch brakuje, dał znać policji. I oto powód tak wczesnej wizyty. Dać im lanie i odprowadzić na bocznicę do węgla. Przecież „Räder mussen rollen für den Sieg" — czyli postoje są niedozwolone.

Policjant z trudem postawił nas na nogi.

— „Komm, komm, du Hampelman, Gestapo will dich sprechen. Das ist ja ein Vergnügen mit diesem Herren zu tun zu haben" („Chodź tu, pajacu, gestapo chce z tobą rozmawiać") — grzmiał patetycznie. Wyciągnął nas sześciu. Mnie, Staszka i czterech pozostałych Polaków, których zastaliśmy w więzieniu, i którzy brali z nami udział w libacji.

— „Macht schneller" — ponaglał Schupo. (Pośpieszcie się).

Budynek gestapo znajdował się o jakieś 400 metrów od Kriminalpolizei, na Franz Seldte Strasse. Był on mi znany z racji zawodu, zrzucałem bowiem tam kilka razy węgiel oraz z wizyt, że tak powiem, przymusowych. Kiedyś, w czasie takiej wizyty, uszkodził mi gestapowiec oko, bijąc mnie bykowcem.

Bykowiec to był wynalazek typowo niemiecki, który nam, Polakom, był aż nadto dobrze znany. W rzeźniach wybierano pewne części genitaliów byka. Po suszeniu wyprawiano, dodawano wygodną rękojeść, a koniec rozdwajano. Ten koniec wpił mi się właśnie w oko, z którym później miałem kłopot przez pół roku. Bykowce były na równi z kablami miedziano-gumowymi urzędowym wyposażeniem kapowych w obozach i narzędziem tortur wstępnych w gestapo i policji. Identyczny bykowiec wisiał w biurze gestapo. Pamiętałem pokój, w którym kazano zwykle delikwentom czekać. Na jednej ze ścian wisiała tajemnicza tablica z napisem w języku rosyjskim: „Smotri w scienku". Ilekroć miałem wątpliwą przyjemność przebywania w tym pokoju, zadawałem sobie pytanie, co ma też znaczyć ten napis i jaki podstęp pod nim się kryje.

Doprowadzono nas wreszcie do gestapo i do tego pokoju. Pusto, ani krzesła, ani stołu. Policjanci, eskortujący nas zniknęli gdzieś w korytarzu. Czekaliśmy długo. Rozmów żadnych nie prowadziliśmy. Po pierwsze baliśmy się mikrofonów, o zainstalowaniu których byłem dobrze poinformowany, po drugie — nie mieliśmy sił. Całonocna libacja zrobiła swoje.

Po upływie godziny otworzyły się drzwi od sąsiedniego pokoju. W pokoju, jak zwykle, dwa biurka w przeciwległych rogach, a przy nich dwaj cywile w płaszczach gumowych i kapeluszach z typowo powyginanymi rondami. W trzecim rogu duża szafa, a za nią na gwoździu, dobrze mi znany bykowiec. Weszliśmy na skinienie jednego z nich.

— „Still gestanden!" (Baczność!) — ryknął gestapowiec.

Ustawiliśmy się w rządku. Ale trudno było utrzymać się w jakimś takim stanie równowagi. Próbowałem palcem prawej ręki dotknąć szafy, aby łatwiej utrzymać równowagę.

— „Wer spricht Deutsch?" (Kto mówi po niemiecku?)

Nikt się nie odezwał.

— „Ich widerhole: wer spricht Deutsch?" (Powtarzam: kto mówi po niemiecku?).

Milczeliśmy. Gestapowiec zajrzał do jakichś papierów.

— „Du sprichts doch Deutsch?" — wskazał na mnie.

Nie mogłem zaprzeczyć. Mieli informacje.

Gestapowiec sięgnął po bykowiec i uderzył mnie nim po twarzy.

— „Wo habt ihr Schnaps her?" (Skąd mieliście wódkę?) — zaczął indagować.

— „Nichts trinken, Herr Oberwachmeister" — odpowiedziałem specjalnie łamaną niemczyzną, uważając, że tytuł Ober nie może nic zaszkodzić.

— „Ich bin kein Obermeister, hier ist Geheime Staatspolizei und keine Kriminalabteilung der Kripo" (Nie jestem żadnym Obermeister, tutaj jest gestapo, a nie wydział kryminalny policji).

Przesunął się wzdłuż szeregu, szukając ofiary. Wodząc wzrokiem po naszych twarzach, uderzał bykowcem po cholewach. Raptem stanął w wolnym rogu pokoju i jakby z wyrzutem skierowanym pod adresem przeklętych cudzoziemców, gapiąc się na kolegę po fachu, siedzącego za biurkiem, ciągnął:

„Gucken Sie mal, Herr Kollege, wir Deutschen haben für die Weihnachten nichts zum Trinken und diese Schweinepolakken trinken sogar in Gefängnis? Na, ja — gleich werden wir sehen"! (Niech pan spojrzy, kolego, my, Niemcy nie mamy na Boże Narodzenie nic do picia, a te polskie świnie piją nawet w więzieniu. No, tak — zaraz zobaczymy).

I przemówił fachową ręką kierowany bykowiec. Drugi przedstawiciel Herrenvolku wstał od stołu, sięgnął ręką do kabury rewolweru i wydobywszy go, zaczął z premedytacją walić nas rękojeścią po głowach.

☆

Gdy przyszedłem do siebie, na zakrwawionej posadzce leżało sześć ciał. Pobojowisko. Staszek, mój kolega, leżał przykryty ciałem nieznanego towarzysza niedoli i więziennego ubawu. Gestapowców nie było. Powoli zebrałem siły. Dotykałem siebie wszędzie. I wszędzie była krew. Miałem dużą ranę na czole, strzęp skóry odstawał od jego kości. Czoło nabrzmiało jak dynia. Co też czekało nas jeszcze?

Po pewnym czasie wszedł do pokoju zwykły Schupo, oddzielił mnie i Staszka od reszty, którą drugi zabrał nie wiadomo dokąd. Nam kazał zostać i oczyścić pokój. Dostaliśmy szczotki, szmaty i wodę i chcąc nie chcąc zabraliśmy się do czyszczenia. „Bis auf Glanz" — jak komenderował Schupo. Nie było to trudne. Podłogi były pokryte linoleum, ściany wytapetowane jakimś zmywalnym materiałem.

Wracaliśmy do pracy rozbici i pokrwawieni. Tego dnia pan E. A. Wolters „Getreide, Kohlen und Künstliche Düngemittel" (Pan E. A. Wolters „Zboże, Węgiel i Nawozy Sztuczne") nie miał z nas pociechy. Wśród hałd koksu, między wagonami, siedząc w kucki na łopatach, dzieliliśmy się niedokończonym opłatkiem, wytrząśniętym z kieszeni, który przypominał nam, że jednak jesteśmy ludźmi.

Ryk Liberatorów, daleko w górze nad głowami, zdawał się temu przytakiwać.

LEON WYCZÓŁKOWSKI — Dęby Rogalińskie

LAS

Ildefons Gałczyński tak powiadał: „Nie dziw, że Polak mknie z szynku do szynku, miast siedzieć w domu — siedzieć w domu, znaczy siedzieć przy kominku", a ilekroć wspomnę ów wierszyk, przypomina mi się inny, niższego co prawda lotu, lecz za to pełen prasarmackiej nostalgii:

„Gdzie są te czasy i ci ludzie?
Wielu mogiły kryje głaz.
Życie się wlecze w tęsknej nudzie
Eh! Kelner, wódki jeszcze raz!".

Święta, Nowy Rok, a więc i wódeczki naród spożyje nieco, bo jakże by inaczej — a ponieważ nie należę do Towarzystwa Antyalkoholowego — tedy powiem: o ile się da z umiarem, a jak się nie da to... bez umiaru... Na Zdrowie! Co zaś się tyczy kominków — cóż, te zostały niestety w poezji i piosence, jeszcze we wdzięcznej pamięci najstarszych spośród nas. A jakże miło było przy trzaskających żywicznych drwach siedzieć, likwory zacne popijać, gwarzyć a wspominać... Z likworów Budafok, albo rodzima Soplica — nie powiem, niezle — nam zostały; co do wesołego trzaskania ognia — to daj Boże, aby gdzieś u sąsiadów młodociana latorośl nie puszczała non stop beatowych kolęd. Co zaś się tyczy reszty — no, cóż, u wielu z nas plastikowa jodełka z lampkami na telewizorze zastąpi i siano pod obrusem i to cudowne, tajemnicze migotanie świeczkowych ogni na choince pachnącej lasem i żywicą. Ej, cywilizacjo! cywilizacyjko! zatruwamy rzeki, niszczymy dymami lasy dla ciebie. Zupełnie, jak w tej piosence o wojence, za którą idą chłopcy malowani. I tak w tej ofiarnej dla ciebie służbie, cywilizacjo, nie zauważamy, jak odchodzi od nas bezpowrotnie tradycja, odchodzi przyroda. Odchodzi z naszego życia wiele elementów, które kiedyś były tegoż życia integralną cząstką, a także jego ozdobą. Nie tylko z życia zresztą — ze sztuki również. Odeszło z niej na przykład bezpowrotnie wiele tematów, które nasi dziadowie i ojcowie jeszcze uważali za potrzebne, ba — nawet znaczące wiele. Ot, weźmy na przykład taki temat — las. Kto dziś maluje las? Jeden może Konstanty Mackiewicz, a i tego nie jestem całkiem pewien. A kiedyś przecie pięknie lasy malowano...

Na przykład, jak w 1886 roku Wilhelm Pruski na zaproszenie księcia Antoniego Radziwiłła do Nieświeża na polowanie jechał, pośpieszył za nim, co prędzej, na Litwę jeden taki malarz, można by powiedzieć, że pojechał na reportaż. Zwał się ten malarz Julian Fałat. Znalazł on w puszczy litewskiej bogactwo tematu, także możnych mecenasów, ale przede wszystkim znalazł samego siebie. Od owej podróży polowania, las, przyroda i człowiek w tej przyrodzie i zwierz wszelaki stają się jego ulubionymi tematami. Ten znakomity akwarelista pisał potem w swoim pamiętniku:

„Przeżycie czterech tygodni w puszczy zasypanej śniegiem, upolowanie dziewiętnastu niedźwiedzi, wśród zmieniającej się wciąż scenerii, tłumy nagonki, malowniczość ostępów, tężyzna myśliwych, charakterystyka niezwykłych postaci — wszystko to znalazło wyraz w moich obrazach i szkicach...".

W wiele lat potem, bawiąc na Capri, podczas 40-stopniowego upału zamyka się Fałat w pracowni i maluje... polowanie na niedźwiedzia z nagonką w zimie. Ten syn organisty z Tuligłów wyzna w pamiętnikach:

„Komarne i Tuligłowy były dla mnie akademią malarską, uczyły mnie patrzeć, podglądać, wyczuwać i kochać te szuwary, stawy, pastwiska i bagna i wszystko, co żyje w wodzie, w błocie, na ziemi i w powietrzu".

Wcześniej przed Fałatem malował polowania, a i las takoż, Juliusz Kossak, autor rysunków do „Roku myśliwca" Wincentego Pola. „Polowanie par force w Łańcucie", „Polowanie w Poturzycy".... to antologia polskiej tradycji łowieckiej, polowania pańskie i buńczuczne. On sam tak powie o swojej pracy:

„o rzeczach, które mają swój język i tradycję jeszcze żywą, nie godzi się pisać androny".

Inny zgoła w malowaniu przyrody był Chełmoński, co dwanaście lat w Paryżu siedział, patrzył na rodzenie się impresjonizmu i myślami, a też i sztuką swoją był zgoła gdzie indziej. Witkiewicz pisał o nim:

„Była w Chełmońskim rzeczywista pogarda dla tej cywilizacji, była istotna, elementarna siła człowieka ziemi, który wśród kultury nie przestaje w głębi duszy słyszeć skowyczącej za skrawkiem płowego nieba tęsknoty, nie przestaje czuć, że nie tu, ale w jakiejś tam Wólce jest świat najbliższy".

Jednym z pierwszych twórców realistycznego krajobrazu polskiego był Józef Szermentowski, kontynuator tematów Jana Feliksa Piwarskiego (ur. 1794). Ten również na studia pojechał do Paryża. Malował okolice Fontainebleau, był pod wpływem Szkoły Barbizeńskiej i Teodora Rousseau i tak powiadał, siedząc przed francuskim pejzażem:

„Natura tutejsza, nic osobliwego, nie może iść w porównanie z naszym krakowskim i sandomierskim, nie mówiąc już nic o Ojcowie, Pieskowej Skale...".

Inni uczniowie Piwarskiego — Gerson, Olszański, Kostrzewski również łażą po kraju, malują w plenerze. Kostrzewski napisze na marginesie jednego ze szkiców:

„Nasze lasy mają dziwny urok i sto razy są piękniejsze w swej rozmaitości niż za granicą, gdzie się spotyka jednakowej wysokości i gatunku drzewa, jak milczące i karne legiony wojska. (...) nasze sosny, wierzby, topole, dęby i tyle innych drzew stanowią tak cudowne wzory".

„Jestem dzieckiem lasu" — powie o sobie Leon Wyczółkowski, znakomity grafik, portrecista drzew. Po wrażeniach z Ukrainy, Huculszczyzny i także Paryża odznajdzie swoje tematy — Białowieżę, Bory Tucholskie, Dęby Rogalińskie i zanotuje w dzienniku:

„Dąb królewski w Puszczy Białowieskiej 4 m grubości. Dwa dni malowałem korę, ciekawe rzeczy. Cały poemat z kory, krokodyl. Od tych drzew — olbrzymów, od wibracji cieni i lśnień, od leśnej bujności bije mocna fala życia".

Był taki malarz, o którym niewielu dziś pamięta. Znakomity akwarelista, subtelny kolorysta, malarz pięknych kobiet, mgły, Tatr i świerków pod śniegiem, a pod koniec życia pejzażysta subtelny i smutny — Maciej Nehring. Ten z kolei najlepsze swoje obrazy namalował w... Bułgarii. Nie znosił twardej linii Południa, słońca jaskrawego i nieba „jak zamarzła woda". Nudziło go to — „czyż bowiem nie piękniejsze po stokroć są wiatry i niepogoda". Jesienne i zimowe krajobrazy polskie malował Nehring na skwarnym Południu — stare drzewa, aleje, poranne opary, leśne drogi w śniegu...

I tak to spod paryskiej, czy monachijskiej pracowni wyłaziły te polskie krajobrazy, często piękne, zawsze całym sercem kochane. I trzeba by sobie zadać pytanie: dlaczego owe pracownie nie zostały nigdy starte do końca, dlaczego my zawsze oglądać się musimy na innych, po innych ziemiach się włóczyć, tam szukając wzorów i obcych naśladując? To pytanie i do dzisiejszej sztuki się odnosi, niezależnie od tematu, jaki jest jej przedmiotem.

ANDRZEJ GRUN

§ LETNIA przygoda

Twierdzę, że ta przygoda mogła się zdarzyć tylko w kraju nad Wisłą, gdzie mieszka lud pogodny i niefrasobliwy, przedkładający chętnie wesołą rozrywkę nad mozolną pracę. Główny bohater tego wydarzenia stoi właśnie teraz przed Wysokim Sądem — blondynka, średniego wzrostu — i ciężko się tłumaczy. A Temida nie ma opaski na oczach, raczej makijaż, w ręku zamiast staroświeckiej wagi trzyma nowoczesny długopis firmy „Inco". Z jej piersi wyrywa się uwiązany na złotym łańcuchu orzeł.

— Jak to się stało, że 29 czerwca — zapytuje Wysoki Sąd — oskarżony szedł rankiem do zakładu pracy w Łodzi, a trafił aż do hotelu „Jutrzenka" w Ostrowie Wielkopolskim?

— To wszystko przez to, proszę Wysokiego Sądu, że wyszedłem do pracy trochę za wcześnie i rozglądałem się, a jak się człowiek dobrze rozejrzy, to zawsze spotka kogoś znajomego, no nie? Ja spotkałem znajomego kierowcę. Powiada on do mnie: „Jadę z kierownikiem na delegację zabierz się z nami. Miał jechać ładowacz, lecz nie przyszedł dziś do pracy, to ty zostaniesz na jego miejsce."

Właściwie to dobrze już nie pamiętam, czy to on mnie zaproponował, czy też ja jemu, w każdym bądź razie znalazłem się w samochodzie. Miałem przecież wyrobionych dużo godzin nadliczbowych i postanowiłem je sobie odebrać, no nie?

— Czy jeszcze ktoś do was po drodze dołączył?

— Owszem, proszę Wysokiego Sądu, na pętli tramwajowej wsiadły dwie panie. Wybierały się akurat do Gdańska autostopem, lecz łatwo dały się przekonać, że przez Ostrów Wielkopolski będzie do morza bliżej. Zawsze to w mieszanym płciowo towarzystwie raźniej się jedzie przez Polskę.

W Pabianicach zaopatrzyliśmy się w piwo, w Kaliszu wypiliśmy pół litra, a w Ostrowie Wlkp. litra i wino też i udaliśmy się do hotelu, żeby to spożyć w spokoju. Zaznaczam, że wynajęliśmy dwa pokoje, jeden dla pań, drugi dla panów, żeby było moralnie, no nie? Ja miałem się niezadługo żenić.

Wypiwszy co nieco, zasnąłem. Jak się obudziłem, coś mnie tknęło i sięgnąłem po portfel. W portfelu ani grosza, ogolono mnie do cna. Pierwsza moja myśl to wyskoczyć przez okno, skradziono mi bowiem 1800 złotych. Pieniądze przeznaczone były na obrączki ślubne, które miałem tego dnia kupić u „Jubilera". Potem wpadłem w złość i zacząłem szukać tych autostopowiczek, a że nie pamiętałem, pod jakim zamieszkały numerem, zacząłem otwierać wszystkie drzwi po kolei w całym hotelu. Z tych nerwów zapomniałem, że nie mam przy sobie klucza i po prostu wyrywam zamki. Widocznie demon zniszczenia mnie opętał. Na pierwszym piętrze wyrwałem sześć klamek, na drugim piętrze też sześć, lecz za to na trzecim ani jednej, bo hotel był dwupiętrowy. W jednym pokoju zastałem dziadka w kalesonach, który na mój widok narobił wrzasku na cały hotel. W końcu jednak odnalazłem autostopowiczki, ale i one na mój widok uciekły z pokoju. Pieniędzy swoich nie odnalazłem, zaś rachunek za zdemolowanie hotelu wyniósł dwa i pół tysiąca złotych. Nie kryję, proszę Wysokiego Sądu, że drogo mnie to kosztowało. Całe szczęście, że narzeczoną miałem wyrozumiałą, wybaczyła mi i zgodziła się na srebrne obrączki. Wesele było skromne.

— Czy coś zginęło tego pamiętnego dnia z pokojów? — zwrócił się Wysoki Sąd do świadka, reprezentującego hotel „Jutrzenka"?

— Nie, nic chyba nie zginęło — odrzekł przedstawiciel hotelu „Jutrzenka". — Tylko jeden dziadek wtedy się skarżył, że go okradziono, ale na drugi dzień sam gdzieś zniknął bez śladu i do tej pory nie uregulował rachunku za pobyt w naszym hotelu.

W tym momencie włączył się do rozprawy adwokat oskarżonego. Linia jego obrony okazała się przezroczysta jak szkło i prosta jak droga z sądu do „Golonki". Mecenas zauważył, że, owszem, jego klient nie był od tego, żeby wyrwać dwanaście klamek, ale to i wszystko, na co go było stać. Do kradzieży trzeba mieć spokojną głowę, a oskarżony był za bardzo zdenerwowany. Świadczy o tym choćby zeznanie panienek autostopowych, które na widok raptusa, czmychnęły z pokoju i zatrzymały się dopiero na dole w recepcji, gdzie za chwilę przybyła wezwana milicja. Milicja położyła kres hotelowej awanturze. Od tego momentu dla **Andrzeja Żwireckiego** skończyła się poezja letniej przygody, a zaczęła proza życia kryminalnego. Na dodatek do wiadomych nam już kosztów doszły jeszcze koszta sądowe. Nie, stanowczo takie wycieczki w Polskę przestały być rentowne. Mniej opłacalna może być tylko wycieczka z „Gromadą".

KAROL BADZIAK

P.S. Ośmielę się zauważyć, że oprócz nazwiska prawie wszystko w tej opowiastce jest prawdziwe, niestety.

TV

„DWORZEC BIAŁORUSKI"

Pomysł nie nowy: kombatanci ostatniej wojny spotykają się na cmentarzu nad grobem swego byłego dowódcy. Potem idą, my powiedzielibyśmy „w Polskę", nie wiem jak to nazywają Rosjanie. Byli żołnierze z jednej kompanii, a obecnie: dyrektor, główny księgowy, ślusarz i dziennikarz.

Pomysł nie nowy, ale jaką treścią można go wypełnić!? Autorzy filmu — a zasługi rozdzielił bym po równo dla reżysera, scenarzysty i aktorów — zrobili film znakomity. Znakomity? Ten nadużywany zwrot właściwie nic nie mówi. Również chwalenie tego filmu nie bardzo wydaje mi się na miejscu. Jest to po prostu film, którego zapomnieć nie sposób. Jest to film wojenny, ale nade wszystko współczesny, który mówi nam o ludziach radzieckich więcej niż dziesięć książek czy sto referatów. Mówi o ludziach pod każdą szerokością geograficzną.

Jest to również utwór, który burzy łatwe, wytarte schematy, nasze wyobrażenia o przyjaźni i solidarności ludzkiej, o przyjaźni scementowanej na zawsze i wypróbowanej ostatecznie we wspólnej walce. O przyjaźni, której czas, odległość, odmienne koleje losu nie są w stanie zniszczyć.

Nie jest to film współczesny do jakich przywykliśmy. Nie ma w nim tezy, nie ma odpowiedzi, nie wiele pada pytań. Ale cały czas, — kiedy patrzę się na to wszystko, co dzieje się na ekranie i później, kiedy wraca się do swoich spraw — dręczy człowieka pytanie: jaki jesteś naprawdę? Jaki jesteś, jaką ty zajął-byś postawę znajdując się w podobnej sytuacji?

PANORAMA TYGODNIA

Na miejsce zlikwidowanego „Kraju" wprowadzono „Panoramę Tygodnia". Prowadzenie powierzono red. Henrykowi Korotyńskiemu, dziennikarzowi doświadczonemu i również, jeśli tak można powiedzieć, telegenicznemu.

Była to chyba zmiana słuszna. „Kraj", szczególnie w ostatnim czasie, odchodził od spełniania swej podstawowej roli magazynu społeczno-politycznego, w którym miały być prezentowane problemy całego kraju. Stawał się coraz bardziej ilustracją do wcześniej podejmowanych decyzji, pozytywnym lub krytycznym komentarzem odnośnie ich funkcjonowania na tzw. prowincji.

Oczywiście to też sprawa nie bagatelna, ale nie można do tej tak wąskiej roli sprowadzać szerzej pomyślanej audycji. Ponadto autorami wojewódzkich czy powiatowych peregrynacji byli prawie wyłącznie dziennikarze z zespołu „Kraj". I w tym nie byłoby tak znów wiele złego, gdyby w zespole pojawiły się reporterskie indywidualności, zarówno ludzie znający doskonale przedmiot sprawy, jak i potrafiący w sposób atrakcyjny i przekonywający swe umiejętności zdyskontować.

Czy tak jest w „Panoramie"? Jak na razie nie bardzo to widać, chociaż red. H. Korotyński starał się zapraszać do współpracy ludzi, którzy naprawdę mają coś do powiedzenia. W ostatnim jednak czasie krąg współpracowników znów zaczął się powtarzać. A chyba nie chodzi o zmianę gospodarza programu i nazwy magazynu.

Myślę, że wyjście można znaleźć głównie poprzez śmielsze odwołanie się do regionalnych ośrodków TV. To chyba one powinny głównie zabierać głos, jedynie koordynowane przez redakcję warszawską. Nie zapominajmy o tym, że ośrodki regionalne istnieją już od wielu lat i w tym czasie potrafiły wykształcić własną, ambitną i silnie związaną z terenem swego działania kadrę dziennikarzy telewizyjnych.

Częstsze wchodzenie do ogólnopolskiego programu za pośrednictwem „Panoramy", byłoby dla nich mocnym dopingiem w pracy, sprawdzianem ich rzeczywistej wartości, okazją do zdrowej konkurencji, konfrontacji osiągnięć.

Również dla nas, telewidzów, byłaby to możliwość lepszego poznania toku życia społeczno-politycznego kraju, zbliżenia do problemów, które jak do tej pory prezentowane są w sposób zbyt schematyczny i uładzony. Stara prawda się tu przypomina: im więcej propozycji i spojrzeń z różnego punktu widzenia, tym szersza perspektywa i większa jasność sedna rzeczy.

Seriale, seriale...

Dewizowe seriale zrobiły u nas dużą karierę, więc nic dziwnego, że wzięto się za produkcję antyimportową. Obecnie grozi nam osiem seriali. „Chłopów" mamy możność już oglądać od paru niedziel i — niestety — jest to opowieść nudna dosyć, choć przecież powieść Reymonta jest literaturą nie tylko wspaniałą, ale niezwykle atrakcyjną czytelniczo. Obraz nie potrafił jednak zastąpić największego waloru powieści — języka Reymonta. Zwrócił już zresztą na to uwagę Jarosław Tarno w jednym z poprzednich numerów „Odgłosów". Być może w kolorze wygląda to bardziej atrakcyjnie, ale przecież 99 proc. telewidzów ogląda program czarno-biały. Na naszych czarno-białych ekranach widać zresztą tę fascynację kolorem — ulubionym chwytem operatora jest fotografowanie poprzez nieostre plamy liści, gałęzi; ujęcia w dalekim planie dla wykorzystania barwnych walorów pola, lasu, krajobrazu... Być może jest to malarskie, być może nawet ów kolor tworzy nastrój... Niestety, jak się rzekło, 99 proc. telewidzów tego oglądać nie może — odbiera więc wyłącznie samą intrygę powieści, która przecież o wartościach „Chłopów" nie stanowi aż tak bardzo.

W końcu roku mają być zakończone prace nad drugim serialem „Wielka miłość Balzaka", przygotowywanym wspólnie z telewizją francuską. Tym razem nie sięgnięto po pierwowzór literacki — scenariusz jest oryginalny J. S. Stawińskiego i Yvesa Jamiaque. Reżyseruje Wojciech Solarz, a grają — Beata Tyszkiewicz (Pani Hańska) i Pierre Meyrand (Balzac).

Czesław i Ewa Petelscy realizują rocznicowy serial o Koperniku, a Jerzy Passendorfer serię przygód Janosika. Po Sienkiewicza sięgnął reż. Władysław Ślesicki, realizując dla młodych widzów „W pustyni i w puszczy". Jakie będą losy tego ostatniego serialu — nie wiadomo. Jak wieść bowiem niesie, ekipa realizująca pełnometrażowy film zaginęła gdzieś „w pustyni i w puszczy".

Najwięcej nadziei na dobrą rozrywkę budzą dwa przygodowe seriale reżyserów: Jerzego Hoffmana i Andrzeja Konica. Pierwszy realizuje serial — gigant na 26 odcinków wg H. Sienkiewicza „Przygody pana Andrzeja", czyli Daniel Olbrychski w roli Kmicica.

Andrzej Konic natomiast po sukcesie „Stawki większej niż życie" cofnął się do wieku XVII i realizuje przygodowy cykl na tle walk o utrzymanie związku Prus Książęcych z Polską. Osobiście bardzo wierzę w Konica jako realizatora z nerwem i wyczuciem tempa, myślę więc, że na „Czarne chmury" na pewno można liczyć. Powinny wejść na ekrany telewizorów w nadchodzącym roku, dokładnie kiedy — mówić chyba za wcześnie.

Tak jak za wcześnie mówić o ostatnim, ósmym serialu polskiej telewizji. Są to „Noce i dnie" na podstawie powieści Marii Dąbrowskiej, realizowane przez Jerzego Antczaka. Kiedyśmy wszyscy wzruszali się dziejami rodziny Forsytów — ktoś trzeźwo myślący powiedział: „nie wpadajmy w kompleks, przecież to nic innego, jak nasze polskie „Noce i dnie". Widać Antczak też był podobnego zdania, bowiem w tym roku rozpoczął realizację serialu na podstawie powieści Dąbrowskiej. Myślę, że na tę sagę rodu Niechciców, opowiedzianą przez rodzinę Antczaka (Niechcicową zagra w niej żona, Jadwiga Barańska) — warto poczekać z nadzieją. Jerzy Antczak należy bowiem do realizatorów, którzy pracują wolno, ale też efekty mają znakomite.

Tak więc przed nami co najmniej osiem seriali. Jak widać z powyższych informacji, są to wyłącznie cykle historyczne. Nawet reżyserzy preferujący dotychczas temat współczesny (Konic, Passendorfer, Petelscy) zwrócili się do przeszłości. Telewizyjny serial współczesny wciąż czeka na swego twórcę. Jak dotąd Polskę, lat siedemdziesiątych oglądać możemy w telewizji tylko w bloku młodzieżowym, bawiąc się „Podróżą za jeden uśmiech".

SALON PANI Dziedzic

Chwalono ją i krytykowano, nie szczędzono złośliwości i zachwytów. Dawała powody do jednego i drugiego. I myślę, że było to w porządku, że nie powinna mieć o to do nikogo pretensji. Indywidualności nie sposób ocenić sprawiedliwie, obiektywnie. To one (oni) są takie, jakie według własnego wyobrażenia być powinny i nie ma na to rady. Można akceptować, albo zignorować człowieka, zjawisko, sprawę — ale one przez to nie przestają istnieć.

„Tele — Echo", jak się wydaje istniało zawsze. I od początku kojarzy nam się ze szklanym ekranem postać pani Ireny Dziedzic, na początku jako spikerki, potem w różnych rolach. W tym rozdziale, jeszcze nie zamkniętym, „Tele-echo" zajmuje pozycję wyjątkową.

Osobiście nie przepadam za Ireną Dziedzic, ale wiem, co sądzi o jej programach wielu ludzi. Ludzi różnych profesji, poglądów i temperamentów, mężczyzn i kobiet. Osobiście należę do tych, którzy starają się docenić jej wyjątkową pozycję. Wyjątkową właśnie przez indywidualność i konsekwencję w prowadzeniu programu, który tylko pozornie może wydawać się uładzonym i prostym.

Irena Dziedzic bardzo celnie trafiła w pewną właściwą ludzką cechę, jaką jest ciekawość — w tym wypadku ciekawość innych ludzi. Ludzi — „których poznać powinniście", którzy swoją wiedzą, postawą, osiągnięciami długoletniej pracy lub błyskotliwym sukcesem zwracają na siebie uwagę. Ludzie, którzy się wyróżniają, ale są w końcu tacy jak my. Wielu z nas mogłoby się na dobrą sprawę znaleźć w salonie pani Dziedzic i dzięki pośrednictwu gospodyni powiedzieć to, czym mógłby nas wszystkich zainteresować.

Opracowali: JERZY WAWRZAK i JERZY WILMAŃSKI

WCZORAJ I JUTRO

Wdzięczny jestem Redakcji „Odgłosów" za propozycję wypowiedzenia się o doświadczeniach jakie rok mijający przyniósł Ośrodkowi Telewizyjnemu w Łodzi i o perspektywach czekających Ośrodek w nadchodzącym roku. Myślę, że ani Redakcja ani Czytelnicy „Odgłosów" nie byliby zainteresowani czymś w rodzaju sprawozdania z tego co OTV—Łódź przedstawił swym odbiorcom i co im pokazać zamierza; chodzi chyba nie o przypomnienie i wymienianie tytułów widowisk czy programów ale o informacje o tendencjach lub procesach występujących w działalności programowej. Kogoś tymi ostatnimi sprawami nie zainteresowanego przestrzegam, by w tym miejscu przerwał lekturę tego felietonu.

Na początku trochę o ilości. Przez cały mijający rok Ośrodek pracował i dla I i dla II Programu Ogólnopolskiego. Rezultatem owej współpracy z dwoma antenami ogólnopolskimi był swoisty paradoks: ilość programów ogólnopolskich wyprodukowanych w łódzkim studio wzrosła w porównaniu do roku poprzedniego a jednocześnie, w odczuciu telewidzów, częstotliwość pojawiania się łódzkiej planszy w programie ogólnopolskim spadła. Tę pozorną sprzeczność wyjaśnić łatwo uprzytomniwszy sobie, że nieznana tylko część odbiorców zaszczyca swą uwagą z tą samą intensywnością oba programy ogólnopolskie; znakomita ich większość ogląda przede wszystkim program I i tego co daje OTV Łódź w Programie II po prostu nie dostrzega. A ponieważ wymagania obsługi dwóch programów sprawiły, że „moce produkcyjne" Ośrodka, wykorzystywane uprzednio wyłącznie dla I Programu, trzeba było w części dysponować dla Programu II, więc też istotnie dla anteny I wyprodukowaliśmy w 1972 r. mniej programów aniżeli w roku 1970. Od kilku już bowiem lat OTV jest u szczytu swych możliwości w zakresie produkowania programów studyjnych; nie można już oczekiwać iż jedyne studio OTV stać będzie na wydatniejszy skok ilościowy w produkcji. Pewne nadzieje w tym względzie wiążemy z wykańczanym już studiem TV PWSFTviT ale głównym źródłem ilościowego zwrotu naszej produkcji musi być intensywniejsze niż dotąd wykorzystywanie wozu transmisyjnego a więc realizacja programów spoza studia.

Przedstawiony wyżej stan rzeczy ingerował będzie dość ostro w strukturę programów Ośrodka modyfikując ich dotychczasowy profil. Bardziej doświadczeni telewidzowie wiedzą dobrze, że o ile studio telewizyjne jest najlepszym miejscem realizacji programów artystycznych czy inscenizowanych o tyle wóz transmisyjny przede wszystkim służy programom sprawozdawczym czy publicystycznym. Skoro zaś właśnie programy realizowane z wozu mogą pojawiać się częściej niż dotąd a programy realizowane ze studia nie, to... Zresztą już w roku bieżącym zarysował się wyraźnie — i to było novum w doświadczeniach Ośrodka — proces znacznego awansu i rozwoju dziennikarstwa telewizyjnego w różnych formach jego działania. Myślę, że ta tendencja potęgować się będzie i w roku przyszłym jako że — po pierwsze — w ogóle w działalności polskiej telewizji wydatnie wzrosła w ostatnich latach ranga działalności dziennikarskiej, a także dlatego, że po drugie — zamierzenia programowe OTV Łódź na rok przyszły tej działalności wiele poświęcają uwagi. Obserwowane w ostatnim roku wydatne zwiększenie udziału OTV Łódź w DTV, osiągnięcia publicystów łódzkich na antenach ogólnopolskich i ożywienie ich w programach lokalnych („Telewizyjna Konferencja Prasowa", „Magazyn Kulturalny") pozwalają mieć pewność że owe zamierzenia zostaną zrealizowane. Tej dziennikarskiej ekspansji na programy ogólnopolskie towarzyszyć będzie praca nad utrzymaniem jakościowym, rozwinięciem dorobku Ośrodka w zakresie programów artystycznych. Wszystkie znaki na niebie i na ziemi pozwalają już sądzić, iż pewien kryzys jaki się tu — przede wszystkim w zakresie teatru TV — z początkiem mijającego roku zarysował jest już przełamany. Zrealizowane w ostatnich miesiącach widowiska potwierdzą chyba tę opinię wówczas, gdy zostaną — a stanie się to z początkiem 1973 roku — odtworzone na ogólnopolskich antenach.

Zauważyć na koniec wypada, że w roku mijającym Ośrodek bardzo często pracował już w oparciu o najnowsze środki techniczne; prawie wszystkie większe programy rejestrowane były na taśmie magnetycznej odpowiednich urządzeń znajdujących się w Warszawie. W połowie roku przyszłego urządzenia takie zostaną zainstalowane w Łodzi co znacznie ułatwi proces rejestracji programów. Jeśli przypomnimy ponadto, iż w końcu roku bieżącego po raz pierwszy zarejestrowaliśmy programy kolorowe przy pomocy warszawskiego kolorowego wozu transmisyjnego, jeśli stwierdzimy, że wóz ten będzie w roku nadchodzącym nie raz gościł w Łodzi, jeśli — wreszcie poinformujemy, że OTV Łódź zacznie w 1973 roku produkować barwne materiały filmowe — to „jutro" Ośrodka nie wygląda tak szaro, jakby to mogły sugerować kłopoty wynikające z niewielkiego a przeciążonego studia.

EDWARD SZUSTER

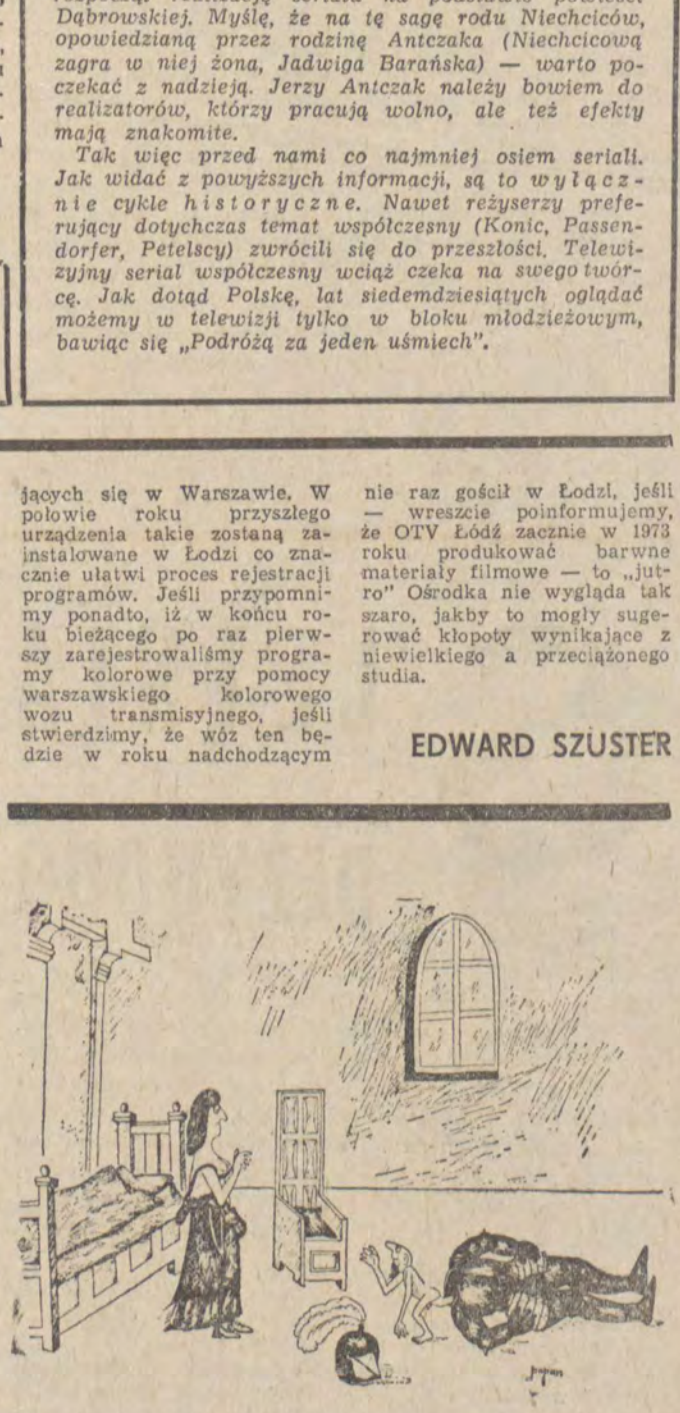

MI. 6 contra Abwehra (2)

KOPERTA Z LITERĄ „U"

Wkrótce po przesłaniu raportu „siatka Riebera" rozpadła się równie szybko, jak powstała kilka miesięcy wcześniej.

O ile jej zmontowanie dla potrzeb Abwehry było mistrzowskim wyczynem wywiadu niemieckiego, o tyle jej błyskawiczne zniszczenie było jeszcze bardziej zdumiewające. Dokonała tego amerykańska sekcja brytyjskiej służby kontrwywiadu, słynna MI.6.

Kapitan Rieber, przez podwładnych nazywany skrótem „Cap", który na przestrzeni długich lat swych zuchwałych przedsięwzięć nigdy nie doznał porażki, teraz został zgubiony w ciągu jednego tygodnia. Taki los zgotował mu elegancki emisariusz niemiecki — radca Westrick, którego ukrywał za kulisami wielkiego biznesu amerykańskiego.

Otóż, na nieszczęście dla „Capa", do Stanów Zjednoczonych przybył także pewien inny agent, mniej więcej w tym samym czasie co i Westrick. Był nim William Stephenson, Kanadyjczyk, jeden z szefów MI 6. Przybył do Stanów, by położyć kres „niemieckiemu szpiegostwu i innym aktom dywersji, w szczególności zaś rozkręcaniu propagandy, skierowanej przeciwko Wielkiej Brytanii i obliczonej na przerwanie pomocy amerykańskiej oraz powstrzymaniu Stanów Zjednoczonych od ewentualnego przystąpienia do wojny"...

Stephenson przywiózł ze sobą „czarną listę", na której m. in. figurował także kapitan Rieber, nie dlatego, żeby Anglicy wiedzieli, iż dostarcza Abwehrze informacji szpiegowskich, lecz po prostu dlatego, że podejrzewano go o „dostarczanie nafty mocarstwom Osi wbrew postanowieniom o blokadzie". Rieber był więc jednym z pierwszych obiektów zainteresowania Stephensona, który bardzo szybko wykrył, kogo on ukrywa za sobą.

Nici wiążące Westricka i Riebera były zresztą maskowane bardzo nieudolnie. Stephenson wiedział już wkrótce, że Westrick ma swoje biuro w gmachu Texaco, że jego auto kupiono za pieniądze Texaco, że ubiegając się o prawo jazdy, podał adres towarzystwa i że kontrakt na wynajęcie domu w Scarsdale opiewał również na Texaco...

Stephenson kazał obserwować dom Westricka i notować numery rejestracyjne wszystkich samochodów, którymi przyjeżdżało mnóstwo gości do domu na Scarsdale. Stwierdzono, że wśród nich znajdują się nie tylko wybitni amerykańscy biznesmeni, ale także wielu młodych Amerykanów niemieckiego pochodzenia, niezamożnych wprawdzie, ale zatrudnionych w fabrykach o znaczeniu strategicznym.

Stephenson postanowił więc położyć kres aktywności Westricka, demaskując go publicznie: dowody, zebrane przez swoich agentów kontrwywiadu, przekazał redakcji „New York Herald Tribune", która opublikowała tę sensacyjną historię na pierwszej stronie, a następnie różnym aspektom tej szpiegowskiej afery poświęciła serię artykułów. Skandal uderzył w Riebera z furią huraganu. Westrick został uznany przez Departament Stanu za persona non grata, a Rieber — napiętnowany publicznie.

Na reakcję nie trzeba było długo czekać. 12 sierpnia Westrick powrócił do Niemiec, a Riebera poproszono o zrzeczenie się funkcji prezesa rady administracyjnej Texaco, co zrobił natychmiast. Rieber zniknął więc ze sceny. Ale Stephenson nie wiedział i, być może, nie wie jeszcze, o innej stronie tej złożonej współpracy z nazistami. Otóż „Niko" Bensmann, bliski przecież współpracownik Westricka nie zniechęcony bynajmniej jego klęską, usiłował kontynuować swoją wywiadowczą działalność. Jesienią 1940 roku, w okresie nasilających się niemieckich nalotów na Anglię i w miesiąc po wyjeździe Westricka do Niemiec, Niko, w rozmowie telefonicznej z wiceprezesem Texaco, zapytał go, co myśli o szansach Anglii w wojnie z Niemcami i jakie plany handlowe ma towarzystwo w wypadku zakończenia wojny, po której Anglia zostanie wymazana z mapy Europy. Jak wynika z raportu Bensmanna, odnalezionego w aktach Abwehry, jego rozmówca miał odpowiedzieć: „przewidujemy, że wojna skończy się szybko i podejmujemy odpowiednie decyzje".

Bensmann bezczelnie wprowadzał w błąd swoich amerykańskich kontrahentów, ponieważ rada administracyjna Texaco widziała w nim wyłącznie przedstawiciela swego towarzystwa w III Rzeszy i nie miała pojęcia, że jest agentem Abwehry. Gdy poruszał jakieś sprawy nie związane z kwestiami zawodowymi, jego amerykańscy partnerzy handlowi sądzili naiwnie, iż chce on po prostu zaspokoić swoją osobistą ciekawość... W 1941 roku Bensmann niejednokrotnie usiłował wykorzystać to źródło informacji, jednakże wiceprezes Texaco — Olmsted, który objął stanowisko po Rieberze w dyrekcji operacji zamorskich, zabronił prowadzenia wszelkich rozmów, nie mających związku ze sprawami służbowymi. Czuł instynktownie, że mogą one być użyteczne dla wywiadu niemieckiego. Nieco później, prezes Towarzystwa — Rogers — mocno ograniczył transakcje z Niemcami, a następnie przerwał je w ogóle, i aby uniknąć niebezpiecznego błędu Riebera, nawiązał ścisłą współpracę z urzędem koordynującym handel naftą, utworzonym przez rząd prezydenta Roosevelta. Rogers ograniczył także transporty nafty do Japonii, kiedy Departament Stanu nie miał co do tego jeszcze żadnych obiekcji i kiedy inne kampanie naftowe nadal zaopatrywały w paliwo cesarską marynarkę wojenną.

Pomoc, którą otrzymywali naziści tym kanałem, była nieoceniona dopóty, dopóki trwała. Ale trwała ona tylko do 7 listopada 1941 roku. Od dnia, gdy bomby japońskie spadły na Pearl Harbor, kanał ten przestał istnieć.

A jeśli chodzi o kapitana Riebera. Przez pewien czas nosił piętno „pronazisty", ale nie brał sobie tego do serca i poświęcił się walce z Niemcami. Pół roku po skandalu opracował model nowego typu okrętu dla marynarki wojennej USA, którego założenia konstrukcyjne były rewelacyjne, a zastosowanie tak szczególne, że marynarka nie zgodziła się na jakąkolwiek wzmiankę na ten temat. Później powrócił na stanowisko prezesa rady administracyjnej Texaco.

PODSŁUCH NA LINII ANGLIA — AMERYKA

20 maja 1943 roku, po wysłuchaniu pesymistycznego raportu jednego ze swych specjalnych agentów wywiadu, który powrócił właśnie z Włoch, Adolf Hitler westchnął głęboko i powiedział: „Trzeba się zacząć jak pająk w środku swojej pajęczyny. Dzięki Bogu zawsze miałem czułe powonienie i zawczasu wykrywałem zakulisowe intrygi, które wywołują określone skutki...".

A jednak nie wyczuł upadku Benito Mussoliniego, który nastąpił dziewięć miesięcy po tej rozmowie.

25 lipca 1945 roku, Duce udał się do królewskiej rezydencji, nie mając złych przeczuć. Zastał króla Emanuela III w mundurze marszałka, który z twarzą zsiniałą od emocji, siląc się na spokój, oświadczył tonem uroczystym: „Mój drogi Duce, daremny wszelki trud... Włochy nie istnieją... Żołnierze nie chcą się bić... W tej chwili jest pan najbardziej znienawidzonym człowiekiem we Włoszech..." Następnie udzielił mu dymisji, po czym powołał na jego miejsce 72-letniego marszałka Badoglio. W przemówieniu radiowym sędziwy marszałek ogłosił „dymisję" Duce i koniec faszystowskiego reżimu.

Jak sami Włosi twierdzą, Niemcy mieli w tym czasie we Włoszech blisko dziesięć tysięcy agentów wywiadu. A jednak Hitler nie otrzymał ani jednego ostrzeżenia, sygnalizującego groźbę tego wydarzenia. 27 lipca 1943 roku Hitler wydał rozkaz admirałowi Canarisowi i pułkownikowi von Roenne, szefowi służby wywiadowczej sztabu generalnego, zdobycie, za wszelką cenę, dokładnych informacji o zamierzeniach i intencjach politycznych rządu włoskiego.

29 rano, generał Jodl, otrzymał zalakowaną kopertę, z czerwonym nadrukiem litery „U", co wskazywało, że chodzi tutaj o tajną rozmowę przechwyconą z obwodu telefonicznego, łączącego Stany Zjednoczone z Wielką Brytanią. To historyczne wydarzenie, jakie nie pozostało bez wpływu na sytuację we Włoszech, zajęło w „Dzienniku operacji wojennych" Wehrmachtu" specjalny akapit:

„29 lipca o godzinie pierwszej nad ranem (czasu europejskiego), przechwycono rozmowę telefoniczną między premierem Churchillem i prezydentem Rooseveltem. Stwierdzono, iż miała ona związek z orędziem gen. Eisenhowera do narodu włoskiego i groźbą zawarcia rozejmu z Włochami. **Churchill:** „Nie chcemy proponować żadnego sprecyzowanego rozejmu do czasu, aż nas o to nie poproszą we właściwym momencie". **Roosevelt:** „Trafnie powiedziane". **Churchill:** „Możemy zaczekać dzień lub dwa". **Roosevelt:** „Zgoda"...

Problem brytyjskich jeńców wojennych we Włoszech ma być rozwiązany w sposób zadowalający Brytyjczyków. Churchill ma zamiar skontaktować się w tej sprawie bezpośrednio z królem. Roosevelt ze swej strony także nosi się z takim zamiarem, ale nie wie jeszcze, jak to zrobić"...

W konkluzji tej noty w „Dzienniku operacji wojennych" Wehrmachtu czytamy: „Mamy teraz niezaprzeczalny dowód, że tajne negocjacje między Włochami a Anglikami i Amerykanami są już w pełnym toku"...

Churchill i Roosevelt byli święcie przekonani, że ich rozmowy, prowadzone przez linię telefoniczną, są ściśle tajne, gdyż specjalne urządzenia zakłócające całkowicie zniekształcały głosy na całej długości linii. Dopiero inne urządzenia, zainstalowane w Anglii i Ameryce, przywracały im właściwe brzmienie. Jak więc udało się Niemcom podsłuchać rozmowy obu mężów stanu i odtworzyć ich głosy i słowa tak wiernie, że dokładny tekst tych rozmów znała Abwehra?

Wilhelm Ohnesorge, minister poczty Rzeszy, zaproponował zainstalowanie podsłuchu na kablu transatlantyckim przy pomocy systemu indukcyjnego. Postanowiono jednak inaczej rozwiązać trudny problem „odcyfrowania" zniekształconych rozmów, które biegły po obwodzie radiofonicznym Anglia — Ameryka.

Główny inżynier ministerstwa poczty, Vetterlein, rozpoczął prace nad wykonaniem tego skomplikowanego zadania latem 1941 roku. Do września tegoż roku udało mu się odtworzyć model amerykańskiego urządzenia zakłócającego. Było to punktem wyjścia do wynalezienia innej z kolei aparatury, zdolnej do wyłączania zakłóceń. Jednak skonstruowanie tego urządzenia wymagało dłuższego czasu: należało zbudować odpowiednią stację i poczekać na specjalne materiały, niezbędne do budowy urządzeń odbiorczych oraz rejestrujących i odtwarzających rozmowy z obwodu. Wszystkie te prace Vetterlein zakończył ostatecznie 1 marca 1942 roku. Stacja odbiorcza, zaopatrzona w potężną antenę kierunkową, została zbudowana w miejscu ustronnym, pod Eindhowen, na wybrzeżu okupowanej Holandii. Treść rozmów, przełożonych na język niemiecki, przekazywano wprost do Berlina przez tajny teletyp, posiadający własny system zakłócania rozmów... Cała ta operacja, od przejęcia rozmowy w języku angielskim aż do przekazania jej do Berlina w języku niemieckim, trwała nie dłużej niż dwie godziny.

Była to, bez wątpienia, najbardziej sprawna i szybka metoda przekazywania informacji szpiegowskich na przestrzeni całej historii istnienia wywiadu. Wierząc bez zastrzeżeń w niezawodność systemu zakłócania rozmów, premier brytyjski wywoływał Roosevelta oraz innych swoich przyjaciół i kolegów z Waszyngtonu i Nowego Jorku o każdej godzinie dnia i nocy...

(c. d. n.)

Oprac. J. CZECH

ŁODZIANIE 1972
(KUPON PLEBISCYTOWY)

1. Leon Gomolicki	
2. Paweł Kowalski	
3. Zofia Mitukiewicz	
4. Leszek Rózga	
5. Stefania Skwarczyńska	
6. Bogusław Sochnacki	
7. Ryszard Stanisławski	
8. Jerzy Werner	
9. Zdzisław Wyrzykowski	
10. Aleksander Zwierko	

Nazwisko i imię . . . . . .

Adres . . . . . .

Zawód . . . . . .

CZY TYLKO ZABAWKA Yannisa Xenakisa?

Laser — dla laika tajemnicze słowo. Leksykon PWN wyjaśnia: **„Laser (maser optyczny), przyrząd elektroniki kwantowej generujący spójną wiązkę (o małej rozbieżności) promieniowania elektromagnet. widzialnego lub podczerwonego; działanie — oparte na wyzyskaniu kwantowych własności materii — polega na wzbudzaniu tzw. czynnych atomów ośrodka (osnowy), a następnie wymuszonym wyzwalaniu zmagazynowanej wyzwalaniu zmagazynowanej energii; stosowany m. in. w radiolokacji, telekomunikacji, medycynie".**

Dodajmy od siebie, że laser zaczyna służyć też sztuce. Już od kilku lat wprawdzie bardzo jeszcze nieliczni, artyści próbują posługiwać się laserem przy tworzeniu swych dzieł. I tak francuski malarz Alain Jacquet (przed kilku laty miał swą wystawę w Łodzi) sporządza od roku 1967 hologramy, fotografie wyglądające jak płaskorzeźby wykorzystując właśnie promienie laserowe. Młody Japończyk Keiji Usami w roku 1968 w jednej z galerii w Tokio pokazywał swe kompozycje artystyczne posługując się laserem. Tenże artysta na „Ekspo 70" tworzył dzięki laserowi barwne widowisko tzw. Teatru Przestrzeni, ilustrujące muzykę Xenakisa. Laserem posługuje się też ostatnio Salvador Dali.

Do swych eksperymentalnych dźwiękowo-świetlnych seansów w Cluny używa lasera słynny awangardowy kompozytor Yannis Xenakis.

Sześć tysięcy lamp elektronowych, trzy promienie lasera zwielokrotnione przez specjalne lustra, skomplikowane urządzenia sterujące — oto aparatura Yannisa Xenakisa. Na ścianach olbrzymiego pomieszczenia, jak tysiące wirujących, eksplodujących gwiazd, rozbłyskują światła czerwone, niebieskie, zielone. Barwne plamy wirują, gonią się, układają w zawiłe formy geometryczne. A równocześnie słychać dźwięki jakby miliardów świerszczy, szum Niagary, hałas wielkich warsztatów metalurgicznych, huk potężnych fal morskich rozbijających się o skały. Co jest zdumiewające to to, że uczestnicy, coraz zresztą liczniejsi, tych spektakłów stwierdzają, że owe wizje świetlne i gigantyczna, niesamowita muzyka, działają na nich kojąco. Przychodzą tu przynosząc ze sobą leżaki lub kładą się wprost na podłodze. Ktoś nazwał te widowiska Xenakisa elektroszokiem kulturalnym.

Aparatura jaką posługuje się kompozytor jest wprawdzie niezwykle kosztowna, ale każdorazowy pokaz jest tani. Jest też prosta w obsłudze. Aby ją uruchomić wystarczy zwykłe naciśnięcie guzika. Yannis Xenakis wyznał niedawno: **„Po raz pierwszy mam taką zabawkę..."**

Czy to tylko zabawka Yannisa Xenakisa?

Xenakis jest jednym z najwybitniejszych kompozytorów awangardowych naszego stulecia. Inżynier, architekt, kompozytor i teoretyk muzyczny urodził się w roku 1922 w Rumunii. Z pochodzenia jest Grekiem. Obywatelstwo posiada francuskie. Podczas wojny był partyzantem w swej ojczyźnie Grecji. Walczył w partyzantce komunistycznej, bo, jak mówi, komuniści **„byli wówczas jedynymi którzy coś zdziałali dla zniewolonego ludu"**. Xenakis walczył przeciw włoskim i niemieckim okupantom, a potem przeciw rządowi monarchicznemu. W walkach stracił oko, a odłamek granatu okaleczył mu policzek. W roku 1947 Xenakis ucieka z Grecji, gdzie zostaje zaocznie skazany na śmierć. Przybywa do Francji i tu uzyskuje obywatelstwo. Przez lat dwanaście pracuje ze słynnym architektem Le Corbusierem. Xenakis bowiem posiada dyplom ateńskiej Szkoły Politechnicznej. Równocześnie rozwija swe zainteresowania muzyczne i talent kompozytorski przyjaźniąc się najpierw z Honeggerem później z Messiaenem. W tym to czasie rodziła się właśnie muzyka zwaną konkretną charakteryzująca się tym, że dźwięki nietypowe dla muzyki jak szmery, szumy, odgłosy przyrody poddawane były transformacjom elektroakustycznym.

„Łagodna muzyka — powie później Xenakis — **do której ludzie się przyzwyczaili, opiera się na konwencjach, które nie mają już dziś żadnej wartości"**. Xenakis przy komponowaniu posługuje się matematyką. **„Kiedy przychodzi mi do głowy pomysł jakiegoś utworu to przy jego realizacji opieram się nie na intuicji ale urzeczywistniam mój zamiar na prawach rachunku matematycznego"** — mówi. Muzykę powstałą w ten sposób nazywa on stochostyczną od greckiego słowa stochos (cel).

Zauważyć tu warto, że założenia koncepcji twórczej muzyki stochostycznej nie są wynalazkiem dnia dzisiejszego. Sięgają one do tradycji bizantyjskiej i średniowiecznej z ówczesnym zamiłowaniem do muzycznych spekulacji rachunkowych, do kombinatoryki i gry prawdopodobieństw.

W roku 1957 Xenakis tworzy dzieło zatytułowane **„Achorripsis"** posługując się obliczeniami matematycznymi. Nie używa jeszcze jednak mózgu elektronowego, ale już w pięć lat potem posługuje się niewielkim komputerem. Przy pomocy komputera powstają dalsze utwory Xenakisa takie jak **„Atrees"**, **„Morsima-Amorsima"**, **„Eonta"** i **„Bohor"** kompozycja elektroakustyczna. Według projektu architektonicznego Xenakisa powstał na wystawie brukselskiej w roku 1958 pawilon **„Philipsa"**. Na bazie matematycznej tego projektu Xenakis skomponował muzykę **„Metastazis"**. Tak więc pomysł architektoniczny splótł się z efektami muzyki.

Na wystawie w Montrealu Xenakis zaprezentował dzieło muzyczne skorelowane z efektami świetlnymi.

Czy utwory Xenakisa skomponowane przy użyciu maszyn matematycznych muszą stać się obojętne uczuciowo lub pozbawione indywidualnego wyrazu? Nie. Miłośnicy jego muzyki twierdzą, że kompozycje Xenakisa odzwierciedlają nieraz głębię różnorodnych nastrojów.

W zeszłym roku prasa doniosła, że Xenakis pracuje w Stanach Zjednoczonych wraz z grupą muzyków i matematyków nad problemem ujęcia wszelkich muzycznych struktur w formuły, analogiczne do aksjomatów matematycznych.

„Bliski jest czas — mówił Xenakis — **kiedy wszelka muzyka i wszelkie muzyczne zamysły będą się opierały na jednej, ogólnej, jednolitej teorii"**.

Obecne eksperymenty Xenakisa z laserem są dalszym etapem prób łączenia muzyki opartej na bazie matematycznej z równoczesnym wprowadzeniem efektów optycznych. Swoje urządzenie w Cluny, którym bardzo się cieszy, nazwał on zabawką.

Czy jednak jest to tylko zabawka? A może zapoczątkowuje ona nowy, ciekawy etap w pomysłowości i artystycznej drodze inżyniera-architekta, teoretyka muzycznego i kompozytora w jednej osobie, Yannisa Xenakisa? I być może jest to jakiś nowy etap w historii nowoczesnej muzyki?

JANUSZ SKOSZKIEWICZ

PRZEŹDŹ teraźniejszość

NIEMCY— przełamywanie barier tradycji

Stalingrad: nie trzeba powtarzać, jakie było znaczenie tej walki dla losów nas wszystkich. Wiele napisali o niej historycy, pamiętnikarze, poświęcono jej niezmiernie dużo utworów literackich. Zarejestrowano w nich tok stawania się historii, skodyfikowano mnóstwo różnorodnych faktów, skrupulatnie zliczono społeczny koszt, którym przyszło opłacić zwycięstwo. Z ogromu danych natury politycznej i militarnej wyłaniają się coraz wyraźniej inne grupy faktów, tych, które z bliskiej perspektywy zdawały się błahe, a które dziś, z upływem czasu — wielkiego selektora pamięci — nabierają większego niż niegdyś znaczenia. Jest to normalna, prawidłowa droga historycznego poznania, bowiem najbardziej liczą się takie dziejowe zaszłości, które zrodziły nowe, które zaowocowały w swoich skutkach.

Pamiętnik byłego pułkownika Wehrmachtu Luitpolda Steidle: jeszcze jeden opis zdarzeń, czy coś więcej? Pisany z perspektywy znacznego upływu czasu, nie może konkurować precyzją zapisu zmieniającej się z dnia na dzień frontowej sytuacji ze wspomnieniami dowódców wyższego szczebla czy rekonstrukcjami historyków wojskowości. I nie dlatego też został napisany. Autor sięgnął bowiem po pióro aby zdać sprawę z wydarzeń innego rodzaju, z przemian ludzkiej świadomości, które stały się udziałem i jego, i wielu spośród jego kolegów, tych przemian, które już niebawem miały wywrzeć znaczący wpływ na dalszy bieg wypadków i prowadzą wprost do dzisiejszej rzeczywistości politycznej. Nas, polskich czytelników, którym o sprawach tych wiadomo, na ogół niewiele, uderza bezpośredniość i szczerość osobistego zapisu narastających w umyśle L. Steidle wątpliwości, trudnych do przezwyciężenia wewnętrznych oporów, słowem cały dramat odnajdywania przezeń własnej życiowej drogi, tej, która byłego pułkownika hitlerowskiej armii zawiodła do stanowiska ministra w pierwszym rządzie Niemieckiej Republiki Demokratycznej. L. Steidle nie ukrywa, że wtedy, na froncie, miał wiele wątpliwości, czy naprawdę po drugiej stronie są prawdziwi Niemcy i czy ich wezwania są rzeczywiście głosem niemieckich patriotów. Nie kryje, że podobnie jak bardzo wielu oficerów, którzy dostali się do niewoli pod Stalingradem, nie tylko nie wiedział nic o działalności istniejącego od grudnia 1941 r. Antyfaszystowskiego Komitetu, ale gdy się z nim po raz pierwszy zetknął, odczuwał doń więcej niż rezerwę. Bez obsłonek powiada: „dla nas, oficerów ze Stalingradu, działacze z „Antifa" byli po prostu wstrętni. Nie mogliśmy pojąć, jak można w czasie wojny współpracować z wrogiem, agitować przeciw własnym kolegom. W naszych oczach równało się to złamaniu przysięgi wojskowej i nie można było tego przyrównywać do naszego postępowania, kiedy to zdecydowaliśmy się na kapitulację wbrew rozkazowi Hitlera". Nie ukrywa, że zrazu nie mógł się pogodzić z tym, że antyfaszyści wzywali do współpracy wszystkich sił demokratycznych, razem z komunistami. „Z komunistami! I to mówiono nam, z których ostatecznie każdy w mniejszym lub większym stopniu po 1918 roku popierał walkę z lewicą. Jak wiele barier tradycji i konwenansów musiało jeszcze zostać zniesionych, zanim my, oficerowie ze Stalingradu, zrozumieliśmy, czego od nas żąda honor Niemiec i przyszłość Niemiec".

Tak: przełamywanie barier tradycji nie jest sprawą łatwą, jest łamaniem się z samym sobą i środowiskiem, jest walką wielekroć trudniejszą, niż akceptowanie wyborów dokonanych. Niezmienność poglądów nie zawsze jest najwyższą cnotą: często bywa objawem nienadążania za przemianami świata, świadectwem niemożności jego zrozumienia. L. Steidle nie usiłuje nikomu sugerować, że jego wybór był łatwy, że dokonał się raptownie, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Przeciwnie: dokumentuje wszystkie trudności i opory. Opisuje spotkania z działaczami antyfaszystowskimi, związane z tym fascynacje i rozczarowania, dramatyczne rozmowy z kolegami... Ciekawe, jak wielką rolę w jego osobistych przemianach odegrały kontakty nie tylko z ludźmi polityki, ale przede wszystkim z twórcami kultury: z pisarzem Friedrichem Wolffem, a zwłaszcza z Johannesem R. Becherem, który — jak powiada L. Steidle — „szczególnie mnie zafascynował swą twórczością poetycką". „Także Ludwig Renn interesował nas bardzo. Ten były „von und zu" stał się komunistą! Dziwne!". I wreszcie utworzenie w Krasnogorsku Komitetu Narodowego „Wolne Niemcy", spotkania z Erichem Weinertem, Wilhelmem Pieckiem, Waltherem Ulbrichtem i innymi działaczami, czynny już udział L. Steidlego w powołaniu do życia Związku Niemieckich Oficerów, którego został jednym z wiceprzewodniczących. W apelu, skierowanym przez Związek do Niemców czytamy: „Całe Niemcy wiedzą, co znaczy Stalingrad. Przeszliśmy przez piekło, zostaliśmy uznani za zmarłych, ale my żyjemy i dążymy ku nowemu. (...) Z gorzkiego doświadczenia Stalingradu powinien narodzić się uzdrawiający czyn".

Trudne, kamieniste, pełne przeszkód były drogi, które wiodły do powstania Niemieckiej Republiki Demokratycznej. My, Polacy, wiemy o nich wciąż zbyt mało, zaś rozwijające się dobrosąsiedzkie stosunki między naszymi krajami wymagałyby, byśmy wiedzieli więcej. Bowiem tylko na tej drodze będziemy mogli zrozumieć, czym są demokratyczne Niemcy w historii i teraźniejszości naszego świata.

LEKTOR

L. Steidle, Rozstrzygnięcie nad Wołgą, PAX, 1972.

ANDRZEJ GRUN — FRYZURY

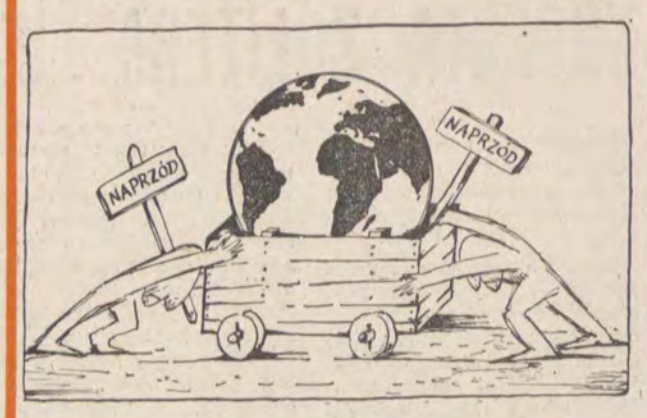

Zdarzenia • i • Zwierzenia

KSIĄŻKI ROKU

Na początku tego roku napisałem felieton pt. „Książki roku". Była tam mowa o bestsellerach futurologicznie zapowiadanych przez wydawców. Kiedy rok się kończy warto spojrzeć na tę futurologię, żeby raz jeszcze stwierdzić, jak zawodne są wszystkie przewidywania. Życie żłobi swoje ścieżki i kpi z przewidywań.

Najzabawniej — choć typowo — wypadło tu Wydawnictwo „Iskry", które zapowiadało bestseller Mariana Brandysa „Koniec świata szwoleżerów". Jest to, być może, książka roku, ale już... 1973. Po prostu do grudnia (kiedy piszę te słowa) publikacja Brandysa nie zdążyła trafić na księgarskie półki. Typowe „niemoce" produkcyjne naszej poligrafii raz jeszcze zrobiły dowcip wydawcom i czytelnikom.

Przeoczyły natomiast „Iskry" w swoich przewidywaniach naprawdę autentyczny bestseller, jakim okazał się reportaż Krzysztofa Kąkolewskiego „Jak umierają nieśmiertelni". To nic, że o tej książce najczęściej pisano źle, ale jednak była to pozycja, o której się mówiło, która rodziła spory, polemiki, ba — całą dyskusję na łamach „Kultury".

Stosunkowo najlepiej trafił Państwowy Instytut Wydawniczy, ale to po prostu dlatego, że zamiast jednej książki, typował kilka. Znalazły się więc wśród przewidywanych bestsellerów „622 upadki Bunga" Witkacego i „Ucieczka z kamiennego świata" Drewnowskiego, książki istotnie głośne i poszukiwane.

Dziwne jednak, że nie typował PIW Wańkowicza, którego „Przez cztery klimaty" stały się jedną z autentycznie głośnych książek roku. I jeśli przy dobrym szczęściu można jeszcze gdzieś w małej, prowincjonalnej księgarence trafić na Witkacego czy „Ucieczkę z kamiennego świata" — to „Cztery klimaty" zniknęły z półek błyskawicznie i bezpowrotnie. Cały 30-tysięczny nakład wchłonął tzw. rynek czytelniczy.

Wydawnictwo Literackie ogłosiło bestsellerem pewną pozycję na pewno cenną, ale nie animującą przecież czytelniczych rzesz. A tu okazało się, że krakowski wydawca przygotował „Trędowatą" Mniszkówny, która wbrew moim prognozom, poszła spod lady w ciągu paru godzin, choć wydano ją paskudnie i drogo. Przygotował także krakowski wydawca potężny tom felietonów sądowych Jerzego Urbana, który też zasługuje na miano bestsellera. Wbrew przewidywaniom wydawcy to właśnie były prawdziwie głośne książki, a nie cenna praca historyka.

Dobrze trafiło Wydawnictwo Łódzkie, typując pracę Zbigniewa Kuchowicza „Wizerunki niepospolitych niewiast staropolskich". Istotnie książka ta wzbudziła szersze zainteresowanie, miała dobrą prasę, a ostatnio nawet zauważył ją „Przekrój".

Zostawmy jednak futurologię i spójrzmy na rok miniony. Było w nim sporo publikacji głośnych i cennych. Do pierwszych zaliczyć można na przykład „Love story" — nudny knot, ale dzięki filmowi rozsławiony ponad miarę... Do drugich zaliczyć wypada prawdziwe wydarzenie edytorskie — piękną czterotomową edycję „Encyklopedii staropolskiej" Zygmunta Glogera. Poprzednio wydano ją przed kilkunastu laty i od razu stała się białym krukiem. Obecne wydanie drukowane bodaj w Lipsku (jest to zresztą odbitka wydania z roku 1903, podobnie jak edycja z roku 1958) stanowi piękny przykład sztuki poligraficznej. Nie „mocy przerobowych, lecz sztuki".

Spod lady sprzedawano także w końcu tego roku tom publicystyki Stanisława Cata-Mackiewicza, najpełniejsze wydanie „Myśli nieuczesanych" Stanisława Jerzego Leca, ogromne zainteresowanie miłośników poezji wzbudził pierwszy w kraju wybór wierszy Kazimierza Wierzyńskiego, trzy tomy esejów i wspomnień prof. Kazimierza Wyki...

W sumie więc bestsellerów było sporo i o różnym ciężarze gatunkowym. Fakt, że futurologia wydawców rozmijała się czasem z czytelniczym zainteresowaniem, nie jest tu najważniejszy. Tak czy owak ów rok 1972 zamyka się sporą listą cennych pozycji wydawniczych.

WIDOK

LEWYM OKIEM!

MLECZNA KAWA Z PIWEM

Mówi się często, że każda epoka ma swój styl. Mówi się też, że „le style — cest l'homme". Styl — to człowiek. W tych dwóch porzekadłach chodzi jednak trochę o różne pojęcie stylu.

Cóż bowiem znaczy, że „styl — to człowiek"? Wydaje się, że sens tego zwrotu polega na tym, że każdy człowiek oddzielnie dopiero kiedy osiąga w pełni ukształtowaną osobowość, kiedy staje się jednostką wyrazistą, zindywidualizowaną — dopiero wówczas jest nosicielem własnego, odrębnego stylu. Prawdziwego, pełnowartościowego człowieka poznajemy więc po tym, że posiada własny, niepowtarzalny styl bycia, ubierania się, zainteresowań, doboru przyjaciół.

Pojęcie „stylu epoki" nie zawiera w sobie cech jakościowych, nie ma nic wspólnego z wartościowaniem. Nie można przecież powiedzieć, że epoka renesansu była lepsza, niż epoka gotyku, że tylko jedna z nich zasługuje na podziw i uznanie jako „prawdziwa", „docelowa". W odniesieniu do „epoki", jej „styl" należy chyba rozumieć jako zespół zjawisk kulturowych, dominujących w danym czasie. Przy czym pod zjawiskiem kulturowym rozumiemy sztukę, modę, obyczaje rodzinne, towarzyskie, sposób zabawy, mieszkania, podróżowania, ceremonie, obrzędy.

Jak się patrzy z wielkiego oddalenia, to widać tylko rzeczy największe. Czasy dawno minione dzielimy przecież na okresy, z których każdy trwał miliony lat. W czasach nam bliższych, trwających jeszcze w dziełach ludzkich, rozróżniamy epoki o różnych dominujących stylach. Każda z nich trwała setki lat. A znów czasy najbliższe oblegają nas takim potopem szczegółów, jeszcze wymykających się klasyfikacji, selekcji, hierarchizacji — że nie jest łatwo zdać sobie sprawy, w jakiej epoce żyjemy: czy kończymy poprzednią, czy zaczynamy następną, czy przeżywamy jakąś pełnię, jakieś apogeum, szczyt. Najporęczniej w takiej sytuacji powiedzieć, że żyjemy w czasach przejściowych. Każdy czas był przecież czasem przejściowym, na pewno więc mamy rację.

W epoce przejściowej, czyli po prostu w czasie teraźniejszym, nie wiemy jaki jest styl panujący, zwłaszcza że co tydzień panuje co innego. Raz grypa, raz twist. W piątek mini, w niedzielę spodnie. W architekturze nie ma żadnego stylu, jest prefabrykacja, seryjność; w malarstwie co kto chce; w poezji to, czego nikt nie chce.

Największe wątpliwości dotyczą ubioru. Żurnale i firmy światowe lansują co parę dni coś z gruntu innego, opartego na innej „filozofii". Nikt nie zdąży zamortyzować sobie kosztów ubioru, zanim przestanie on odpowiadać szlagierowym wymogom mody. Produkcja kręci się coraz szybciej i zalewa rynek. Więc i modę trzeba zmieniać coraz częściej, najlepiej dwa razy na tydzień. To chyba dlatego nie ma już pomiędzy normalnymi zjadaczami chleba ludzi modnych i niemodnych czy neutralnych, natomiast są bardzo modni, mniej modni, jeszcze mniej i jeszcze mniej — w całej nieskończoności owych parodniowych niuansów wielkiej dyktatorki naszych czasów. I właśnie dlatego nasze ulice, lokale, zebrania wyglądają — zwłaszcza w odniesieniu do młodszych roczników — jak nieustający korowód przebierańców.

Świadomie mówię nie o ludziach rozmaicie ubranych, według przeróżnych upodobań. Wielka część jest właśnie przebranych, nie — ubranych. Bardzo mi się podoba bogactwo pomysłów, jak największa rozmaitość i barwność. Nie może się jednak podobać koronkowy żabot i wymyślna peruka przy obskurnych, połatanych portkach. Ani biała i nieczysta koszula, wyrzucona na spodnie i wystająca o pół metra spod krótkiej, obcisłej, skajowej kurtki. Ani rozdeptane bambosze trzymane jednym palcem przy złocistej, dekoltowanej kreacji. Ani czarny dęciak z wielkim rondem na niezmiernie owłosionej głowie młodzieńca, z jednoczesnym podwinięciem swetra pod pachy i obnażeniem białego brzucha. Jeżeli to jest styl epoki — taki absolutny brak nie tylko stylu, ale elementarnego smaku estetycznego, to chciałbym uważać taką epokę za bardzo przejściową.

Być może, że mamy i tu — tak jak w plastyce i poezji — do czynienia z turpizmem, ze świadomym, przekornym kultem brzydoty. Bardziej, być może, chodzi o „epater le bourgeois", o podenerwowanie ludzi zrównoważonych, o zwrócenie na siebie uwagi byle czym, właśnie wygłupem, szpetotą, wszystko jedno. Ten cel osiągnąć łatwo, no i został osiągnięty. Czy zainteresowani mają już to, co chcieli? Już im dobrze?

Jeśli nie, to proponuję dalsze udziwnienia: pijcie piwo z mleczną kawą. Załóżcie sztuczne nosy, ogolcie pół głowy na zero, noście czerwone cylindry i kożuchy włosem na wierzch. Nikomu to szkodzić nie będzie, a rozładuje się jeszcze trochę neurastenii. Albo się i nie rozładuje tylko spotęguje. Będziemy mieli epokę w stylu jakiego jeszcze nie było!

ĆWIEK

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji, ul. Piotrkowska 96, telefony: 244-79, 217-98 oraz 293-00 wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 6.50 zł, kwart. 19.50 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa", Łódź, ul. Żwirki 17. Zam. 2788 D-7

10840-A

im. J. P. w Łodzi